NR. 2 (78)
ROK III

TYDZIEŃ

11.I.1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZIŚ w NUMERZE:

KPT. MAR. WOJ. J. BARTOSIK – RATOWANIE ROZBITKA ○ LECZYMY SIĘ ZIOŁAMI ○ R. KWIATKOWSKI-W JASKINIACH KNOWAŃ ZBRODNI ○ QUAS ○ AL. THEN ○ J. WYSZOMIRSKI ○ J. ŻYLIŃSKA I INNI ○

W JASKINIACH KNOWAŃ ZBRODNI

Zdjęcia: Janusza Smogorzewskiego i Romana Kwiatkowskiego.



Tu dotąd leżą miny, okolone zasiekami z drutu kolczastego.



Na przedpolach kwater budowano zapory przeciw-czołgowe.



Jadąc z Piszu w kierunku Szerokiego Boru trafiamy na drogowskaz informujący o kierunku jazdy szosą boczną do kwatery Göeringa.



Wejście do bunkra Göeringa.



Normalnego wzrostu człowiek, w stosunku do bunkra proporcjonalnie [illegible]na się tak, jak mucha do mamuta.



Obok drzew naturalnych stały na dachach bunkrów drzewa sztuczne.



Nad szosą, biegnącą przez las rozciągały się zielone baldachimy, pod którymi maskowano samochody.



Jaskinie zbrodniczych knowań opustoszały, zamieniając się w rumowiska.



Rozszarpane środkami wybuchowymi bunkry żelbetonowe do złudzenia przypominają widziane w górach bloki skał granitowych. Kolega Smogorzewski dopatrzył się w tych ruinach wyjątkowego piękna i uwiecznił je na zdjęciu.



Na dachu jednego z bunkrów wbudowane było stanowisko dla broni przeciwlotniczej.

Aleksander THEN

PAX BALCANICA

Półwysep Bałkański był przez długie wieki celem ekspansji państw europejskich nawet wówczas, gdy ustaliło się tam na czas dłuższy panowanie tureckie. Naturalne cieśniny morskie, oddzielające Europę od Azji, a łączące Morze Czarne ze Śródziemnym, możliwości kontrolowania dróg handlowych wiodących ze wschodu na zachód były celem, który przyciągał i zapraszał. Jak długo jednak nad Bosforem istniało potężne Imperium Otomańskie, wszelkie próby obcej ekspansji mogły się dokonywać tylko drobnymi skokami przez spychanie władztwa tureckiego z jego najbardziej na zachód i na północ wysuniętych placówek. Europa czekała, kiedy to władztwo zmięknie dostatecznie, aby ludy bałkańskie, związane przez wieki z Azją, mogły wrócić ponownie do Europy, do jej kultury i jej cywilizacji.

„CHORY CZŁOWIEK"

W połowie XIX wydawało się że chwila ta nadeszła. Rządy tureckie wykazywały niezwykłą słabość, odpowiadającą zresztą proporcjonalnie słabości całego Imperium. Nad Bosforem ścierały się różne wpływy mocarstw europejskich, ale najtrafniej ocenił stan rzeczy Mikołaj I, nazywając Turcję „chorym człowiekiem". Termin ten znalazł wkrótce prawo obywatelstwa w gabinetach wszystkich stolic europejskich, choć nie we wszystkich zrozumiano, że był to rzeczywiście decydujący moment szybkiego uwolnienia ludów bałkańskich. Beznadziejną już wówczas sytuację Turcji ratowała rywalizacja mocarstw. Nie ulegało wątpliwości, że Mikołaj I dążył do likwidacji Imperium Otomańskiego w Europie, gdyż dyplomaci rosyjscy nie umieli ukryć tego faktu. Mikołaj I proponował wprawdzie rozbiór Turcji, ale sam zamierzał usadowić się silnie nad Bosforem. Jego koncepcja była śmiała, lecz nie ryzykowna w stosunku do Turcji. Ryzykowna jednak w stosunku do Anglii, która wolała widzieć Rosję zamkniętą w granicach Morza Czarnego, aniżeli u wyjścia Dardaneli na Morze Śródziemne. Epilogiem tej rywalizacji była wojna Krymska, w której Europa zachodnia stanęła po stronie Turcji przeciw Rosji. Wyzwolenie ludów bałkańskich odwlekło się, nie ulega bowiem wątpliwości, że wyjście Rosji na Bosfor i Dardanele oznaczało by odcięcie Turcji od Europy i przywrócenie niezawisłości narodom bałkańskim.

DISRAELI

Po raz drugi uratowała Turcję rywalizacja mocarstw na Kongresie Berlińskim.

W tej drugiej wojnie rosyjsko-tureckiej uderzenie rosyjskie wyszło z północy, nie mogło przeto oznaczać gwałtownego odcięcia Turcji od Europy, ale mogło spowodować zepchnięcie jej jak najdalej z Bałkanów w kierunku cieśnin, a w konsekwencji wyzwolenie narodów bałkańskich. Dokonało się to tylko częściowo. Na pobojowiskach Bułgarii rozstrzygnęły się w każdym razie ostateczne losy Rumunii, a w znacznej mierze również Serbii i Bułgarii. Liberalna część Izby Gmin przeprowadziła wówczas dramatyczną walkę z wszechmocnym premierem Disraelim, który postanowił nie interweniować w konflikcie bałkańskim, lecz schylić się po dojrzały owoc. Tym razem stawka była dla Anglii o wiele ważniejsza, gdyż naprzeciw wyjścia Dardaneli na Morze Śródziemne powstał Kanał Sueski, stanowiący jedną z najważniejszych arterii komunikacyjnych Imperium Brytyjskiego. Disraeli, podobnie jak poprzednio lord Palmerston, obawiał się usadowienia się na stałe Rosji nad Bosforem i na Kongresie Berlińskim pozbawił Rosję wszelkich owoców zwycięstwa nad Turcją, ratując raz jeszcze „chorego człowieka", od którego otrzymał w nagrodę wyspę Cypr.

Wydarzenia bałkańskie w ciągu XIX w. stworzyły w gabinetach stolic europejskich pojęcie wiecznie dymiącego kotła. Określenie niesprawiedliwe, gdyż dymy bałkańskie nie oznaczały nic innego, jak dążenie narodów bałkańskich do wyzwolenia i do samoistnego życia, a mocarstwa europejskie — poza Rosją — proces ten tylko hamowały. Austria nawet wyraźnie dążyła do objęcia spuścizny tureckiej na Bałkanach i do przejęcia ludów bałkańskich spod panowania tureckiego pod swoje własne. Józef II pchnął Rosję do drugiego rozbioru Polski tylko dlatego, aby bezkarnie zająć turecką Bukowinę, która miała stanowić bazę wypadową Austrii wprost w kierunku Bosforu.

TRZY WOJNY

Zanim jednak do tego skrzyżowania doszło ostatecznie w r. 1914, ludy bałkańskie postanowiły same dokonać dzieła wyrzucenia Turcji z Bałkanów i uwolnienia tych braci którzy pozostawali jeszcze pod panowaniem tureckim. Uderzenie połączonych sił bułgarsko-serbskich nastąpiło w r. 1912 i zepchnęło Turcję ostatecznie na dzisiejszą granicę w Tracji. Spór o dziedzictwo potureckie był prawdziwym nieszczęściem, które zawisło odtąd na losach Bułgarii. Koalicja serbsko-grecko-rumuńska skierowała się przeciw Bułgarii i pozostawiła w narodzie bułgarskim gorzki osad żalu do bałkańskich pobratymców. Pierwsza wojna światowa, w której niemiecka dynastia Bułgarii związała kraj z mocarstwami środkowo-europejskimi, odrzuciła jeszcze Bułgarię od Morza Egejskiego.

I w drugiej połowie wojny światowej dynastia niemiecka ulokowała Bułgarię po fałszywej stronie, mimo to jednak rezultat tej wojny i przemiany, jakie dokonały się na Bałkanach wskazują na to, że Bułgaria odnalazła swą drogę ku rodzinie demokratycznych narodów bałkańskich. Nie ma już w Bułgarii niemieckiej dynastii i zabiegającej wokół tronu kamaryli progermańskiej. Władza w kraju należy do narodu i tylko naród decyduje o swoich losach. Wszystko wskazuje się na to, że dymiący ongiś kocioł bałkański stanie się w niedalekiej już może przyszłości oazą pokoju i ładu politycznego i socjalnego.

Punkt wyjścia akcji w tym kierunku znajduje się w Belgradzie. Nowy rząd Jugosłowiański był pierwszym, który uporządkował drażliwe sprawy narodowościowe w granicach własnego państwa.

W następnej fazie należało przenieść szczęśliwą koncepcję na szerszy teren całego półwyspu Bałkańskiego i jego północnego sąsiedztwa. Droga z Belgradu wiodła w pierwszym rzędzie do Sofii. Tam od r. 1913 tkwiła bolesna zadra. Tam w pierwszym rzędzie należało nawiązać zerwane nici braterstwa.

Z Sofii droga narodów jugosłowiańskich prowadziła do Budapesztu, do niedawna jeszcze siedziby regenta i związanej z nim reakcji arystokratycznej. I tam podpisany został analogiczny traktat, tym ważniejszy, że w Budapeszcie koncentrowała się idea rewizjonistyczna w stosunku do Bałkanów.

Z Budapesztu wreszcie delegacja narodów jugosłowiańskich udała się do Bukaresztu, aby zamknąć łańcuch wzajemnego porozumienia w imię zachowania i utrwalenia pokoju w rejonie południowo-wschodniej Europy.

Poza porozumieniem ludów bałkańskich pozostała jedynie monarchistyczna Grecja, tak długo jednak tylko, dopóki władza tego kraju nie przejdzie w ręce ludu greckiego.

Gdy na wielkich szlakach polityki światowej rozgrywają się dramaty, na bocznej ścieżce bałkańskiej utrwala się między narodami pokój, którego skołatane ludy tak bardzo potrzebowały.

Z TEKI KARYKATUR POLITYCZNYCH J. ŻEBROWSKIEGO

Z karnawału politycznego

Bomba atomowa przestaje być rewelacją.



NIEWYPAŁ



Franco i de Gaule — Torreadorze zdejm maskę!
— Nie może, bo nie będę sobą!...



Jak sobie Niemcy wyobrażają FUZJĘ stref zachodnich.

tak i nie

Kierunek na cygaro

AMERKANIN Charles H. Davis jest niezwykłym entuzjastą Churchilla. Ten mało ważny fakt stał się jednak interesujący z innego względu. Ów pan Davis, jako świadomy entuzjasta Churchilla, postanowił wznieść mu pomnik. Wysokości 70 m. Pomnik ten, wzniesiony tuż nad morzem, służyłby jednocześnie za latarnię morską dla portów angielskich. Nieodłączne churchillowskie cygaro miało być mia nowicie zaopatrzone w silne światła neonowe.

Projekt ten nie doczekał się jednak i nie doczeka zrealizowania. Pewnie z obawy, że okręty biorące kierunek na cygaro pana Churchilla wjechałyby na jakąś wojenną minę. (S)

Sędziowie i statystyka

W PENSYLWANII rozpętała się ostatnio niezwykle gwałtowna kampania przeciw sędziom. Ciężką bronią w rękach oskarżycieli stała się następująca statystyka:

Podczas stu przewodów sądowych, prowadzonych przez sędziów w wieku ponad 70 lat, stwierdzono, że: 25 sędziów zasypiało podczas pierwszej półgodziny rozprawy, 18 między pierwsza półgodziną i godziną, 50 w drugiej godzinie. Tylko siedmiu sędziów na stu oparło się potrzebie spokojnej drzemki podczas ponad dwugodzinnej rozprawy. (S)

Francuzi i literacka nagroda Nobla

JAK dotychczas, pisarzami, którzy „zagarnęli" największą ilość literackich nagród Nobla w ciągu bieżącego stulecia, są pisarze francuscy André Gide jest siódmym laureatem tej nagrody, jego poprzednikami byli: Sully Prudhomme (1901), Fryderyk Mistral (1904), Romain Rolland (1915), Anatole France (1921), Henryk Bergson (1927) i Roger Martin du Gard (1937).

Anglia, w tym okresie czasu może się poszczycić czterema laureatami: Kipling, Bernard Shaw, Galsworthy i Yeats; Ameryka natomiast trzema: Sinclair Lewis, Eugen O'Neil i Pearl Buck. (S)

Abisynia jest niezależna

ABISYNIA, pierwsze państwo, które wydostało się w czasie ostatniej wojny spod kurateli faszyzmu, rozbudowuje się obecnie w szybkim tempie. Oczywiście zasadniczą rolę w tej rozbudowie odgrywa pomoc bankie ra światowego nr 1, Stanów Zjednoczonych. Okazuje się jednak, że pożyczki nie są jeszcze wszystkim, że chcąc, by sprawy państwa stały dobrze, inwestycje kapitału amerykańskiego nie wystarczają.

I tak doradcą Negusa do spraw zagranicznych jest pan profesor John Spencer (z uniwersytetu Harvard), „ministrem" wychowania Christian Ruckmic (z uniwersytetu Iova), „ministrem" higieny kalifornijczyk G. G. Campbell, kierownikiem abisyńskich spraw finansowych George A. Blowers. Żeby lista osobistości nie kończyła się tylko na Amerykanach, trzeba dorzucić cały legion angielskich oficerów, którzy tworzą armię ku chwale oczywiście, Abisynii. Pozatem, drobnostka — prezydentem miasta Ad dis Abeba jest były angielski generał brygady. Mało znaczącym szczegółem jest również fakt, że prezydentem najwyższego Sądu jest Anglik. Grunt, że niezależna (!) Abisynia rozbudowuje się. (S)

Nasza okładka:
„Skracamy długie zimowe wieczory"...
Studium fotograficzne
Fot. Paramount

Pomóżmy ofiarom

KTO prędko daje — dwa razy daje. Nic dziwnego więc, że rozczuleni byli Syryjczycy, którzy przybyli na lo tnisko w Mezze, aby przejąć paczki przywiezione z USA dla rządu Syryjskiego. Przesyłka nosiła napisy „pilne!". Były to paczki wysłane przez rząd amerykański na rzecz ofiar wypadków z... maja 1945 r.

Mimo wielkiego spóźnienia, wynoszącego w sumie tylko dwa lata i cztery miesiące, pomoc jest zawsze pomocą. Choć obecnie straciła ona swój właściwy cel, ale dobre chęci też się liczą. Sprawa dobrych chęci stała się jednak również trochę dziwna, gdy zobaczono załączony do paczek rachunek (słony!) za przesłane produkty i koszty ekspedycji!

...Jak to pięknie, że bogata Ameryka nie zapomina jednak o Syryjczykach, ofiarach wypadków... (S)

„How do you do Mr Brown"

PRZYPOMINA się stara piosenka, zatroskana o stan zdrowia Mr. Browna, gdy czyta się plan opracowany przez byłego doradcę amerykańskiego zarządu wojskowego w Niemczech w sprawie przyszłości tego kraju. Mimowoli nasuwa się myśl, że Mr. Brown nie jest w pełni swoich władz umysłowych.

Oto najistotniejsze punkty jego pro gramu, według relacji amerykańskiego tygodnika „Newsweek":

1) Znieść układ w Jałcie i Poczdamie.

2) Połączyć strefy okupacji: amery kańską, angielską i francuską w jedną całość jako Zachodnie Niemcy.

3) Zaopatrzyć Niemcy w potrzebną żywność na pięć lat.

4) Zmniejszyć głód węgla przez powiększenie dni pracy górników angielskich do sześciu... (Wtedy nie trzeba będzie eksportować węgla niemieckiego. Uwaga red.).

5) Zaprzestać rozbiórki fabryk i urządzeń przemysłowych na rachunek odszkodowań wojennych i odroczyć dostawę odszkodowań z bieżącej produkcji na pięć lat.

6) Wyznaczyć termin zakończenia denazifikacji.

7) Zagwarantować, że zdekartelizowane przedsiębiorstwa nie zostaną upaństwowione.

8) Zaniechać wprowadzenia w życie planu produkcyjnego dla Niemiec i zezwolić Niemcom na produkowanie takich ilości i rodzajów towarów, jakie będą mogli wytworzyć.

9) Znieść wszelkie kontrole i wprowadzić zasadę wolnej konkurencji.

10) Zaprosić Niemcy do udziału w planie Marshalla.

11) Stworzyć nowy centralny rząd dla Zachodnich Niemiec.

12) Zabezpieczyć Zachodnim Niemcom obronę przed inwazją. (Czyją? dopisek red.).

13) Rozluźnić układy towarowe i ograniczenia walutowe dla zachęcenia eksportu niemieckiego.

14) Stworzyć bank emisyjny i wypuścić nową walutę.

Szaleństwo? Zapewne, ale w tym szaleństwie jest metoda. (p)

Oj, ta Ameryka!

WYCHODZĄCA w Hawanie gazeta „Oj" donosi, że w czasie konferencji panamerykańskiej w Rio de Janeiro, która odbyła się kilka miesięcy temu, minister Marshall przeprowadził tajne rozmowy z przedstawicielami Kuby, Chile i Brazylii, omawiając z nimi plany zerwania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim. Było to sygnałem do istotnego zerwania, które teraz nastąpiło.

Krążą pogłoski, że Ameryka wywiera obecnie nacisk na Argentynę, Urugwaj i Meksyk, namawiając usilnie te kraje, by poszły śladami Chile i Brazylii. (z)

Józef Dominko

ZNAMIENNE PRZEOBRAŻENIA SPOŁECZNO - GOSPODARCZE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

W związku Radzieckim — po raz pierwszy w historii ludzkości — dokonuje się fakt wprowadzenia ustroju socjalistycznego. Zasady tego ustroju już wcześniej, teoretycznie, zostały wypracowane, jednak wcielenie tych zasad w życie wymaga wielu prób i doświadczeń.

Związek Radziecki, mimo 30 lat swojej historii, jeszcze nie wykrystalizował form swego ustroju. Toteż nic dziwnego, że wszystkie kraje, dążące do przebudowy społeczno - gospodarczej, wszyscy ludzie, którzy zerwali ze światopoglądem kapitalistycznym, pilnie śledzą zachodzące w Związku Radzieckim zmiany w życiu publicznym.

W budownictwie społeczno - gospodarczym Związku Radzieckiego można zaobserwować rywalizację dwóch metod gospodarczych: jednej, opartej na dyscyplinie państwowej, i drugiej, spółdzielczej, opartej na dobrowolnych organizacjach.

W pierwszych latach po Rewolucji Październikowej partia i rząd nastawiały się wyraźnie na uspółdzielczenie tych dziedzin życia gospodarczego, w których może być zastosowana metoda spółdzielcza. Uspółdzielczono więc całą gospodarkę wiejską, rzemiosło i był moment, gdy ogromna część handlu w państwie zorganizowana była na zasadach spółdzielczych.

Jednak — odnośnie handlu w miastach — po kilku latach zmieniono nastawienie. Rozpoczęto zakładać handlowe przedsiębiorstwa państwowe, które wkrótce tak się rozrosły, że rząd mógł w roku 1935 skasować zupełnie miejską spółdzielczość spożywców. Przyczyną tego przestawienia metod nie mogły być różnice polityczne czy światopoglądowe. W tym czasie na czele Centrosojuza (Związku Spółdzielni Spożywców) stali już wybitni komuniści i spółdzielczość była całkowicie dyspozycyjna w stosunku do rządu. Działały tu inne siły. Mianowicie zatarg między państwowymi trustami przemysłowymi, i Centrosojuzem. Wtedy i do nas w Polsce dochodziły odgłosy tego zatargu, polega jącego na tym, że Centrosojuz, występując w interesie spożywców, domagał się wpływów na działalność przemysłową, zaś dla kierowników trustów przemysłowych nie było, wygodne wtrącanie się przedstawicieli spożywców. Zatarg rozstrzygnęły władze przez skasowanie spółdzielczości spożywców w miastach.

Koncentracja gospodarki w rękach administracji państwowej dała dobre wyniki w okresie przygotowania do obrony i podczas ostatniej wojny. Kiedy jednak zmagania z najazdem hitlerowskim szczęśliwie zostały ukończone i zniszczenia w państwie szybko zaczęły być odbudowywane, zaistniały warunki, umożliwiające odprężenie i szukanie sposobów lepszej aprowizacji ludności.

Poprawienie sytuacji żywnościowej mogło odbyć się tylko poprzez ściąganie z rolnych gospodarstw indywidualnych i kolektywnych nadwyżek produktów ponad potrzeby rolników i po oddaniu państwu świadczeń w naturze. Chodziło o wielkie ilości przetworów zbożowych i produktów zwierzęcych, które sprzedawane były na rynkach chłopskich w najbliższych miastach i miasteczkach, a które powinny były trafiać do wielkich ośrodków miejskich i przemysłowych. Tę operację najlepiej, z największym zaufaniem ludności wiejskiej, wykonać mogła spółdzielczość. Toteż dn. 9 listopada 1946 r. Rada Ministrów Związku Radzieckiego postanowiła dopuścić z powrotem handel spółdzielczy do miast. Rozpoczęła się energiczna akcja skupywania przez wiejskie spółdzielnie spożywców produktów rolnych, które wielkimi transportami, na zamówienie central spółdzielczych, szły do miast, i tam w obrębie jednego cyklu spółdzielczego, sprzedawane ludności w sklepach spółdzielczych. Prasa radziecka od tamtej daty wielokrotnie donosiła o błogosławionych skutkach tego posunięcia: o wzmożeniu środków żywnościowych, o potanieniu cen na wolnym rynku.

Upłynął jeszcze rok, i oto w wyniku wybitnej poprawy i w dziedzinie przemysłu, i w dziedzinie gospodarki rolnej, i w dziedzinie wymiany towarów między wsią i miastem, władze zdecydowały zniesienie z dniem 16 grudnia 1947 r. reglamentowanego za opatrzenia ludności. Ceny na towary przemysłowe i spożywcze, dostarczane ze źródeł państwowych, ustalone zostały na poziomie bardzo niskim, zbliżonym do cen reglamentowanych. Aby nie krępować dopływu do miast towarów z nadwyżek gospodarstw wiejskich i umożliwić nieskrępowaną współpracę między spółdzielczością spożywców i drobnych wytwórców, ustalanie cen towarów w sklepach spółdzielczych i na rynkach chłopskich pozostawiono wolnej grze gospo darczej. Mimo to — jak donosi prasa — ceny te ulegają poważnej zniżce, i należy liczyć się, że rynek spódzielczy może powodować obniżanie cen państwowych.

Jednocześnie zniesienie ograniczeń w handlu przyniosło szereg innych poważnych skutków.

Wzmogło się nastawienie całego aparatu gospodarczego na spożywcę: Przy wolnym wyborze towarów, spożywcy nie zechcą nabywać towarów złych czy nieodpowiednich. Przemysł musi przysłuchiwać się życzeniom spożywców i reprezentujących ich organizacji handlowych — inaczej w magazynach zalegać będą masy towarów niekurantowych, których nikt kupować nie zechce.

Potrzeba poza tym należytej obsługi spożywców: towary muszą bez przerwy i sprawnie przepływać od wytwórcy do spożywcy, muszą być sprzedawane umiejętnie. Zatem handel nie jest, nie może być kopciuszkiem w życiu gospodarczym, w ustroju socjalistycznym — jest ważny tak samo jak wytwórczość. Sklepy muszą być estetyczne, higieniczne, personel wyszkolony. „Handel musi być kulturalny" — oto hasło dnia dzisiejszego w Związku Radzieckim.

W tych warunkach istnieje konieczność szybkiego ujawniania życzeń i reagowania ze strony spożywców. Jak to spowodować Oto Związki Zawodowe przypomniały sobie od dawna stosowany przez spółdzielczość spożywców sposób. Samorzutnie, w wielu miejscowościach przy handlowych przedsiębiorstwach państwowych, rozpoczęto organizowanie komitetów sklepowych. Prasa pochwyciła tę inicjatywę i zaleca stosowanie jej w ogóle w handlu.

Wszystkie te posunięcia idą w kierunku uznania sposobów gospodarki spółdzielczej — i w miarę ich upowszechnienia mogą doprowadzić do oddania handlu w ręce zorganizowanych spożywców.

My, przyjaciele Związku Radzieckiego, cieszymy się bardzo z ewolucji w życiu gospodarczym tego państwa. Wtedy, kiedy w olbrzymiej większości krajów na świecie odczuwany jest głęboki kryzys aprowizacyjny — gospodarka planowa, obliczona nie na zysk, a na zaspokojenie potrzeb, wykazuje bezapelacyjną wyższość nad systemem kapitalistycznym i staje się błogosławieństwem narodów. Poza tym, jako spółdzielcy dumni jesteśmy ze zwycięstwa naszych idei. Ustrój socjalistyczny — niewątpliwie — składać się będzie z dwóch sektorów uspołecznionych, reprezentujących dwie metody gospodarcze: odgórną — państwową, i oddolną — spółdzielczą, uzupełniających się i kontrolujących się nawzajem.

Roman Kwiatkowski

W JASKINIACH KNOWAŃ ZBRODNICZYCH

Reportaż własny „Tygodnia"

Człowiek normalny, przeciętny zabiega o to by mieć własny, ciepły kąt, mniej lub więcej wygodne mieszkanie, które chroniło by go przed skutkami zmian atmosferycznych, w którym mógłby założyć własne ognisko domowe, wypoczywać po pracy i wychowywać dzieci.

Zdarza się jednak, że i wśród ludzi rodzą się jednostki aspołeczne. Słyszeliśmy i czytaliśmy nieraz o różnego rodzaju zbójnikach, piratach i legendarnych hersztach band żyjących z mordów i rabunków: ludzie ci, na podobieństwo drapieżnych zwierząt i dzikich bestii posiadali naturalne czy też budowali zakonspirowane kryjówki, jaskinie i meliny, gdzie, czując się bezpieczniej, układali plany wypraw bandyckich.

Czasy legendarnych janosików czy robin - hoodów minęły. Niemniej w czasie ostatniej wojny zanotowano fakt świadczący o podtrzymywaniu zwierzęcych i starobandyckich tradycji:

Pod naporem wojsk armii polskiej i radzieckiej pośpiesznie wycofywały się z terenów b. Prus Wschodnich wojska niemieckie. Na 80 km przed Olsztynem, w pobliżu Kętrzyna wojska nasze natrafiły w pościgu na olbrzymie rumowiska ukryte wśród leśnej gęstwiny, pawstałe po wysadzonych w powietrze przez Niemców bunkrach. Nie było wówczas czasu na dokładniejsze zbadanie tych objektów, więc je ominięto. Na podobne, choć mniejsze i nie rozsadzone bunkry betonowe natrafiono również w odległości 7 km od Węgorzewa i na trzynastym kilometrze przed Piszem.

Po zwycięskim zakończeniu działań wojennych zainteresowano się opuszczonymi ruinami i bunkrami. Zainteresowano się przede wszystkim dlatego, że natrafiono tu na niezwykle pomysłowo rozgałęzioną sieć pól minowych, genialnie pomysłowy system maskowania terenu przy pomocy zagajników i całych lasów sztucznie wykonanych drzew i niespotykaną konstrukcję żelbetonowych bunkrów. Bliższe oględziny, dokonane badania i zasięgnięte informacje od autochtonów, oraz pozostałych tu rodzin niemieckich wyjaśniły tajemnicę istnienia bunkrów. Stwierdzono, że tu właśnie mieściły się kwatery główne największych zbrodniarzy hitlerowskich ,Adolfa Hitlera, Himmlera, Hermana Göeringa i Guderiana.

Budowę kwater rozpoczęto na dwa, trzy lata przed wybuchem wojny. O tym jak wielką tajemnicą otaczano to przedsięwzięcie, świadczy fakt, że do czasu ukończenia wojny nikt nie wiedział gdzie mieści się kwatera główna armii niemieckiej i że w ciągu sześciu lat wojny nie było tu ani jednego nalotu i bombardowania bunkrów z powietrza.

Od momentu „wykurzenia" z tych betonowych schronów niemieckich zbrodniarzy minęło już prawie trzy lata. Aby zobaczyć jak to wygląda, udajemy się na miejsce. W Olsztynie życzliwi zalecają nam ostrożność przy poruszaniu się w terenie, gdyż kwatery jeszcze nie zostały ostatecznie rozminowane. Przyjmujemy ostrzeżenie z pewną dozą humoru, bo jak nam wiadomo zdołano dotąd z tych kwater wyszabrować już wszystko co tylko się dało unieść i przedstawiało pewną wartość. Jeżeli więc szabrownicy spełnili swój obowiązek i wyszli cało, tym samym ułatwili nam spełnienie naszego obowiązku. Jedziemy!

W godzinach rannych natrafiamy na tablicę: „Tu główna kwatera naczelnego wodza wielkiej Rzeszy"!

Tak tu była, a dziś? Poprzez leśną gęstwinę dostrzegamy coś, co piętrzy się w górę na podobieństwo rozdartych bloków skalnych. Poprzez las prowadzi asfaltowa szosa, mająca dwie odnogi. Bocznice tu były niegdyś tak zamaskowane, że ewentualny obserwator z samolotu ani ich dostrzec ani domyśleć ich istnienia nie byłby w stanie. Nad tymi odcinkami szosy rozciągały się zawieszone na wysokości czterech metrów zielone baldachimy wykonane z gęstej siatki drucianej, którą poprzetykano zielonymi płatkami elastycznej masy do złudzenia imitującej listowie. W głębi boczna szosa zatacza łuk, a za zakrętem wyrastają przed nami wysokie ,betonowe bunkry, z których większość rozsadzono doszczętnie środkami wybucnowymi. Szczątki olbrzymiego bunkra, oznaczonego znakiem „BU 20" są domniemanym objektem w którym urzędował Adolf Hitler. Osadzony on był głęboko w ziemię, a nad powierzchnią wznosił się do wysokości kilkunastu metrów. Grubość stropu w tym bunkrze wynosiła 8 metrów, a grubość ścian dochodziła do 4 m. W tym kolosalnym bunkrze, którego wymiary wynoszą 80x50 m mieścił się sztab przyboczny führera, tu odbywały się narady wojenne i tu podobno został dokonany 20 lipca 1944 r. pamiętny, ostatni zamach na życie wodza Niemiec, zamach niestety nieudany. Bunkier ten, jak i 29 pozostałych, rozrzuconych po całym lasku, został wysadzony w powietrze przez uciekających stąd Niemców, przy czym, jak stwierdzono, do rozsadzenia każdego z tych bunkrów zużyto od 4 do 6 ton materiałów kruszących. Dokonano tego bez trudu gdyż ładunki wybuchowe zakładano już w czasie budowy bunkrów i wystarczyło w odpowiednim momencie tylko włączyć widełki na zmontowanej gdzieś w oddali tablicy rozdzielczej prądu elektrycznego, by wszystkie te masywy zbudowane z żelbetonu zamienić w kupy gruzów. Wybuch odszczepiał od ścian masywy stropów, które kruszyły się i osiadały na dolnych kondygnacjach bunkrów, miażdżąc wszystko co się pod nimi znajdowało. Podobno w paru bunkrach pogrzebano przy tej okazji wszystkich robotników obcych narodowości, którzy w charakterze niewolników instruktorów i majstrów z organizacji Todta budowali te kolosalne schrony.

Jakim sposobem zdołano tak wielkie bloki ukryć przed okiem obcego wywiadu? Budowano je w gęstym lesie. Aby zamaskować poszczególne objekty, ustawiano na płaskich dachach tych budynków sztuczne zagajniki imitujące korony drzew iglastych.

Do ilustracji na stronie drugiej

Teren kwatery głównej Hitlera obejmował kilkaset hektarów powierzchni. Dokoła otaczał go 8-mio kilometrowej szerokości pas skomplikowanego systemu pól minowych. Nad rozminowaniem terenu pracowali nasi saperzy w ciągu 18 miesięcy, przy czym nie obeszło się bez wypadków. Kilkunastu oficerów i szeregowych w czasie tej akcji poniosło śmierć lub odniosło ciężkie obrażenia ciała, mimo zachowania najdalej posuniętej ostrożności.

Na dachach niektórych bunkrów istniały betonowe wieże strzelnicze i stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Cały teren pokryty jest zbudowanymi w ziemi bunkierkami strzelniczymi i wieżyczkami obserwacyjnymi. W lesie przy szosie mieścił się dworzec kolejowy, dziś zniszczony, a po nieistniejącym już torze kolejowym kursowały specjalne pociągi, konwojujące luksusową salonkę Hitlera. Urządzenie wnętrz kwatery głównej było wykonane z przepychem, o czym świadczyły znajdywane tu szczątki palisandrowych mebli. Oprócz centralnego ogrzewania, własna elektrownia dostarczała prądu, funkcjonowały wodociągi, a gmatwanina poszarpanych przewodów dowodzi o istnieniu central telefonicznych i zradiofonizowaniu schronów.

Luksusową kryjówkę zbudowano dla największego zbrodniarza naszego wieku. Zbudowano tak pomysłowo, z zastosowaniem ostatnich zdobyczy techniki i wiedzy, że w tych murach mógł się wódz Niemiec czuć zupełnie bezpiecznie — chroniły go bowiem mocniejsze od skał granitowych stropy i ściany, miny i zasieki, doborowy pułk ochrony przybocznej i najnowocześniejsza broń. Mimo to nie dowierzał on nikomu. Znaleziono dokument, z treści którego wynika, że co 2 — 3 miesiące zmieniano obsadę bunkrów i dowódców jednostek czuwających nad całością tej niezwykłej warowni.



Taras nad jeziorem okalającym teren leśny, w którym zbudowano kwaterę Goeringa.



Do kwatery Hitlera jedzie się przez ulice potwornie zniszczonego miasteczka Kętrzyn.

Ostatecznie wszystko skończyło się fiaskiem, legło w gruzach, pod którymi być może kryje się jeszcze nie jedna tajemnica, ale pod które nie łatwo można będzie dostać się.

Na skraju lasu zatrzymujemy się na chwilę. Rozciągają się tu tereny dotąd nie rozminowane, okolone zasiekami z drutu kolczastego.

— Właśnie tam, niedaleko stąd — mówi spotkany rolnik — zdarzyło się wielkie nieszczęście. Pogalopował koń, za koniem popędził gospodarz i jeden i drugi zostali rozszarpani. Przyszli wezwani na pomoc dwaj milicjanci i również obaj polegli. Duch Hitlera mści się!

Trzydzieści km. na północ od Giżycka, pod Węgorzewem zwiedzamy kwaterę Himmlera .Jest tu około 25 bunkrów, o wiele skromniejszych od bunkrów widzianych w lasku gorzelickim. Poza budynkiem elektrowni żaden z bunkrów nie został wysadzony w powietrze. Tu nie stosowano maskowania sztucznymi drzewami. Zamaskowano je przez powleczenie betonu ciemnozieloną warstwą jakiejś masy, imitującej mech i wrzosowiska leśne. W bunkrach nie pozostało śladu po umeblowaniu. Grubość murów i sklepień jest mniejsza. Grubość stropów wynosi 3 — 4 metry. Salki wewnętrzne mają powierzchnię 6 x 10 m. Kwatera ukryta w starym lesie, leży nad brzegiem jeziora Mamry. Najbliżsi współpracownicy Himmlera przyjeżdżali tu na obrady samochodami, lub statkami kursującymi po jeziorze. Kto wie czy wkrótce bunkry nie zostaną odsłonięte, gdyż las państwowy w tym miejscu został nawiedzony przez złośliwego robaczka kornika, który przenosi się z drzewa na drzewo, toczy korę i powoduje wysychanie starych sosen. By zapobiec rozszerzaniu się tej plagi, las jest wycinany przez drwali.

Kierujemy się do kwatery Göeringa do której trudno byłoby trafić gdyby nie drogowskaz. W malowniczej okolicy nad pięknym jeziorkiem mieści się 8 powleczonych czarną farbą bunkrów. Przed wyjazdem z Piszu ostrzegano nas, że tu również możemy trafić na tereny dotąd nie rozminowane. Obawę rozwiała zbudowana między drzewami brama z napisem „Czuwaj". Domyślamy się, że latem istniał tu obóz harcerski, a więc teren musi być wolny od zdradzieckich min. Dawniej na miejsce można było dostać się specjalnie zbudowaną koleją, po której pozostały tylko ślady. I tu również bunkry nie zostały wysadzone w powietrze. Niektóre z nich mają po dwie kondygnacje. Wejścia chronią drzwi pancerne wykonane z grubej blachy. Małe otwory, przy których musieli dyżurować strzelcy z rozpylaczami, słabo oświetlają ciemne korytarze. W pokojach wzdłuż ścian stoją drewniane ławki. W małych pokoikach — metalowe łóżka. Z mebli pozostało trochę krzesełek i parę stołów. Wzdłuż murów i korytarzy ciągną się pogmatwane zwoje kabli. Niewątpliwie końce tych kabli łączyły się niegdyś z aparatami zainstalowanymi w kwaterach Hitlera, Himmlera, Guderiana i z centralami w Berlinie. Za pomocą tych drucików nawiązywali ze sobą łączność władcy III Rzeszy, na rozkaz których zbudowano na ziemi Warmijsko-Mazurskiej zakonspirowane przed światem, żelbetonowe jaskinie, w których knuto zbrodnicze plany zawładnięcia Europą i całym światem. Stąd wysyłano rozkazy na wszystkie fronty i linie działań wojennych. Jaskinie zbrodniczych knowań opustoszały i zamieniły się w martwe rumowiska. Spotkał je los wszystkich, znanych w historii kryjówek, grot, zamków warownych i twierdz bandyckich.

KONIEC TRAGICZNEGO DYKTATORA

NIEMIŁE SPOTKANIE NA PIAZZA DEL QUIRINALE

Data 11 czerwca 1940 r. zgubiła Mussoliniego. Miarka zachłanności przeważyła miarkę przezorności: Włochy wypowiedziały wojnę Francji. Nie był to skok lwa: było to zaledwie skradanie się hieny. Francja istotnie pachniała padliną: linia Somme - Aisne, zwana szumnie „linią Weyganda", była definitywnie przełamana, a Paryż miał być wzięty lada dzień. Anglia przeżyła właśnie Dunkierkę i wydawała się łatwym łupem tak militarnym, jak i politycznym. Zaczajona hiena zgłaszała się do podziału w łupach, chociaż kilkanaście dywizji włoskich aż do samego armistycjum nie potrafiło dać rady trzem dywizjom francuskim, broniącym granicy.

Zgubna data 11 czerwca 1940 r., spowodowała w dalszych skutkach datę 25 lipca 1943 r. Najwyższa Rada Faszystowska odrzuciła tego dnia wniosek Duce o wycofaniu wojsk włoskich na linię rzeki Po. W jednym z pałaców rzymskich marszałek Badoglio szykował się do stworzenia gabinetu. Ostatnie bombowce alianckie zaprzestały bombardowania Italii.

Wczesnym wieczorem przyjechał Duce do Palazzo Reale. Wiktor Emanuel był lakoniczny i nieodgadniony. Była to, jak na niego, poza niesłychanie nowa i niepokojąca. Ostatni raz dyktatorski krok zagrzmiał groźnie w korytarzach królewskiej rezydencji. Bergsalierzy przy wyjściu ostatni raz sprezentowali broń. Ale wysmukłej „Lancii" dyktatora nie było już na podjeździe.

Z mroku zaciemnionego placu wyłoniła się czarna postać.

— Duce, pan pozwoli ze mną! Jest pan aresztowany.

ELEGANCKI PENSJONAT W GÓRACH GRAN SASSO

Nazwisko Obersturmbannführera SS Otto Skorzennego, związane jest z operacją uwolnienia Mussoliniego z eleganckiego pensjonatu w górach Gran Sasso, gdzie uwięziono go z rozkazu marsz. Badoglio. Miało to miejsce w połowie września 1943 r. Zaś niesławna śmierć byłego wodza narodu nad jeziarem Como nastąpiła w końcu kwietnia 1945 r.

Ostatnio opublikowano szereg ciekawych materiałów, pozwalających na odtworzenie stanu ducha twórcy faszyzmu u schyłku jego kariery.

Odezwał się mianowicie Skorzenny, postawiony przed trybunałem wojskowym Sprzymierzonych. Pewne niedyskrecje popełnił były rektor uniwersytetu bolońskiego Coppola, wierny feldfebel faszyzmu. Ujawniono to i owo z interesujących wspomień szefa policji „faszystowskiej republiki ludowej", o brzęczącym nazwisku Tamburini. Wreszcie, najciekawszym chyba dokumentem jest wywiad z Duce, który na trzy tygodnie przed jego śmiercią udało się przeprowadzić rezolutnej Szwajcarce francuskiej, p. Magdalenie Mollier.

8-go września o godzinie 19-tej przechodnie rzymscy usłyszeli z głośników ulicznych, że zawieszenie broni pomiędzy Aliantami a rządem włoskim zostało podpisane. Było to ujawnienie wydarzeń wcześniejszych o 5 dni, kiedy to wysłannik Badoglia, gen. Castellano, podpisał potajemnie kapitulację w obecności Eisenhowera i Aleksandra. Rzecz cała trzymana była w tajemnicy, by kontrofensywne pociągnięcia niemieckie nie przeszkodziły realizacji planów alianckich.

Koń Mussoliniego na arenie cyrku
Nieznane szczegóły z ostatnich dni Mussoliniego

Mussolini, który w swoim pokoju posiadał radioodbiornik, dowiedział się o fakcie zawieszenia broni tego samego dnia i nie był nim zbytnio zaskoczony. W szkicu książki, którą chciał wydać pt. „La storia di un anno", zanotował niewiele uwag o samym akcie, natomiast rozpisał się nad wzmożeniem aktywności straży i jej komendanta, porucznika Faiola. Nie bez znaczenia jest informacja, że „od tego dnia stawiano przed mymi drzwiami posterunek także i w nocy". Znaczy to, że dzielny Faiola uważał do tej pory wystawianie nocnego posterunku przed drzwiami ex-dyktatora za zbędne. Rzuca to nowe światło na „gigantyczne trudności", na jakie natrafił Skorzenny na czele swych esesów.

Bardziej, niż kapitulacja Włoch, podekscytował Mussoliniego w dwa dni później pewien komunikat z Algeru. Wieczór ów opisał on tak: „Około godziny 20-tej zeszedłem do swoich pokojów i włączyłem radio. Przypadek chciał, że nastawiłem na Berlin, który właśnie cytował treść meldunku, otrzymanego z Algeru: „Główna Kwatera Sprzymierzonych zakomunikowała oficjalnie, że wydanie Mussoliniego jest przewidziane, jako jeden z warunków zawieszenia broni". Wywiązała się dyskusja — pisał dalej Duce — i jeden z obecnych zauważył, że takie pogłoski krążyły już od dłuższego czasu, lecz były dotąd starannie dementowane przez Aliantów. Ja byłem przekonany, że tym razem odpowiadają one prawdzie i postanowiłem nie oddać się żywym, ani Anglikom, ani Amerykanom".

Ta emfatyczna deklaracja, obok idyllicznych warunków bytowania w pensjonacie na Gran Sasso, nie jest jeszcze niczym nadzwyczajnym w zestawieniu z faktem, że (ciągle według relacji Mussoliniego) część bitnej straży pensjonatu pałała wprost niepohamowaną żądzą wypuszczenia wodza na wolność.

„Komendant karabinierów, który sam był w angielskiej niewoli i wyraźnie niecierpiał Brytyjczyków, oświadczył mi: Gdyby doszło do tego (tj. do wydania), zostanie pan uprzedzony w porę, aby zdążył pan uciec. Przysięgam to panu na głowę mojego jedynego syna!"

Waleczny Faiola, obawiając się o życie wodza, nakazał usunąć z jego pokoju wszelkie ostre i metalowe przedmioty, a w pierwszym rzędzie nożyki do golenia. Noc przeszła jednak spokojnie. Następnej nocy zjawił się Skorzenny.

ALGER ZWYCIĘŻA W ETERZE

Według oceny niemieckiego sztabu generalnego sytuacja we Włoszech stawała się zgoła nieprzyjemna. Nie dość, że armia niemiecka musiała wziąć na siebie całkowity ciężar frontu apenińskiego: nadomiar należało się liczyć z „nieprzewidzianymi wypadkami" na włoskim zapleczu. A w roku 1943-im nie było wcale nadmiaru żołnierzy Wehrmachtu, którzyby mogli okupować Italię i pilnować, by lud włoski nie przeszkadzał działaniom na froncie.

W tym celu trzeba było zorganizować policję włoską: niechby sami Włosi pilnowali Włochów. Ten genialny pomysł spowodował, że Führer przypomniał sobie o więzieniu. Mussolini akurat do tego mógł się jeszcze nadać, aby włoską lewicę potrzymać w szachu do chwili ewakuacji półwyspu i nie dopuścić do zbrojnego powstania przeciw Niemcom.

Nie wiemy jakie rozmyślania snuł Duce, spoglądając ze swej kabiny na niknący w dali elegancki pensjonat w górach Gran Sasso. Mizerna rola, jaką mu jeszcze wyznaczono, nie zdawała się go upokarzać. Zaraz po wylądowaniu na „wolnej ziemi" niemieckiej, zabrał się żwawo do organizowania systemu nadzoru nad własnym narodem, który to system nazwał dowcipnie „faszystowskim państwem ludowym".

17-go września produkował się Duce przed mikrofonem radia monachijskiego. Opowieść o „największej przygodzie swego bujnego życia rozpoczął apostrofą „Do moich ludów". Ale: Kalabria, Apulia, Toskania, Liguria, Piemont i Lombardia nie słuchały już Monachium. Przeciwnie, słuchały Tunisu, przez który transmitowano orędzie Roosevelta do Kongresu: „Wielkie bitwy w Europie i Azji zostaną wkrótce skoordynowane... Lądowanie, którego dokonaliśmy we Włoszech nie jest jedynym, jakie mamy na widoku... Zwycięstwa Armii Czerwonej spowodowały największą klęskę militarną, jaką widział świat od 1812 roku.



Mussolini na białej klaczy w dniach swej świetności

SZKOLNY ELABORAT, CZY SKOK PRZEZ ATLANTYK

Ciekawe odkrycie (w tym właśnie momencie) poczynił rektor uniwersytetu bolońskiego, Coffredo Coppola, mianowicie w bolońskim archiwum dogrzebał się wypracowania francuskiego, które napisał Mussolini w okresie pokwitania. Wypracowanie traktowało o samobójstwie i usiłowało dowieść, że śmierć samobójcza nie jest tchórzostwem, lecz w pewnym wypadkach czymś wręcz chwalebnym.

Mussolini ucieszył się z prezentu, podziękował Coppoli i dołączył owo ćwiczenie do swych prywatnych papierów. Na tym się jednak nie skończyło. W jakiś czas potem Duce wezwał Coppolę do siebie. O rozmowie tej opowiadał jego magnificencja w gronie znajomych.

— Pojechałem do „Villi Feltrenelli", gdzie przyjął mnie Duce i prosił o opublikowanie w najbliższym numerze „Civilza Fascista" swego wypracowania. Ale znaznaczył, że nie życzy sobie, by przedrukowała je prasa codzienna. Chce zatem zostawić po sobie dokument, który będzie świadczył, że nigdy nie uważał samobójstwa za tchórzostwo. Zakaz publikowania w prasie codziennej dowodzi, że chce ukryć swe zamiary przed masami, by nie budzić w nich defetyzmu.

Domyślny rektor niepotrzebnie się martwił: szkolny elaborat wprawdzie opublikowano, ale Duce nie śpieszył się z samobójstwem. Wręcz przeciwnie. Wierny jego zausznik, szef policji faszystowskiej Tamburini, w trosce o skórę wodza i o własną, wypracował plan ucieczki sztabu czarnych koszul. „W odpowiednim momencie" specjalna łódź podwodna miała bezpiecznie wywieźć swój ładunek na Atlantyk, a stamtąd — gdzie oczy poniosą: do Japonii, Ziemi Ognistej, lub przełęczy Gran Chaco. Plan był opracowany w najdrobniejszych szczegółach: skład załogi, marszruty, zapasy żywności. Jedno z miejsc zarezerwowane było dla Klary Petacci, kochanki Mussoliniego.

ROZMOWA NAD JEZIOREM GARDA

5-go kwietnia 1945 r. w „Villi Feltreneli" zjawiła się u Mussoliniego, z kamerą fotograficzną pod pachą szwajcarska dziennikarka, Magdalena Mollier.

Duce siedział w fotelu, czytając „Volkischera".

— Nie chciałabym nudzić pana niemądrymi pytaniami, chciałabym jednak poznać tego Mussoliniego, który przeszedł przez najcięższe koleje losu i zobaczyć, jak reaguje na ostatnie wydarzenia.

— Na klęskę, chce pani powiedzieć! — zawołał dyktator — Pani posiada wiele taktu, nawet za wiele. Bądźmy szczerzy i gwiżdżmy na komplementy! Co za diabelski wynalazek, ci dziennikarze. Proszę mi wybaczyć, sam jestem dziennikarzem. Proszę mi obiecać, że wszystko, co pani powiem, zostanie opublikowane po mojej śmierci.

— Czy nie za dużo myśli pan o śmierci?

— Za dużo? O nie, śmierć to moja przyjaciółka. Nie lękam się jej. To błogosławieństwo dla kogoś, kto dużo przecierpiał. Nikogo nie oskarżam, nikomu nie robię wyrzutów prócz siebie. Sam jestem odpowiedzialny za swój upadek!

(Ciąg dalszy na str. 11-ej).



Takim opuściła Mussoliniego pani Magdalena Mollier na 3 tygodnie przed jego śmiercią.



Poczciwa klacz dyktatora jest teraz aktorką filmową, gra mianowicie w filmie historycznym z czasów Cezara. Sic transit gloria mundi.



Co nowego w gazecie? Bomby latające na Londyn. Mussolini na tarasie „Villa Feltrenelli".

Film TYGODNIA



Przedstawiciele Rządu złożyli Prezydentowi życzenia noworoczne. Stoją od lewej: premier Cyrankiewicz, wicepremier Gomułka, wicepremier Korzycki i min. Minc.



Również i Korpus dyplomatyczny z dziekanem, ambasadorem Lebiediewem złożył życzenia Głowie Państwa.



A w imieniu Spółdzielczości polskiej życzenia złożyli: Prezes „Społem" J. Żerkowski i prezes Zw. Rewizyjnego E. Pszczółkowski.

100 WIERSZY O SPORCIE

Wkroczyliśmy w rok olimpijski. ba, już tylko 3 tygodnie dzielą nas od St. Moritz, gdzie wystąpią nasi narciarze i hokeiści. Pierwsi siedzą jeszcze w Zakopanem i daremnie czekają na śnieg, drudzy wyjechali już do Czechosłowacji, aby tam oszlifować swą formę. Nie odczuwa się u nas wcale entuzjazmu, jaki cechował okres ostatnich igrzysk olimpijskich, co jest usprawiedliwione słabą pozycją naszego sportu na arenie międzynarodowej w porównaniu z 1936 r.

Grono sportowców, którzy przygotowują się do letniej olimpiady powiększyli ostatnio koszykarze, składając ślubowanie olimpijskie. Do Londynu wybierają się również i przedstawiciele hokeja na trawie. Ci przynajmniej, w przeciwieństwie do hokeistów na lodzie, nie będą mogli uskarżać się na brak... trawy, potrzebnej im do przygotowań.

Dochód netto na fundusz olimpijski z permanentnego konkursu „Zgadnij, kto wygra" wyniósł dotychczas 1.120.000 zł. Wobec tego, że koszt wysłania na olimpiadę jednego narciarza lub hokeisty, włączając koszty obozów, wynosi około 400.000 zł, suma ja ką PKOlimp. uzyskał wystarczy na pokrycie kosztów ekspedycji zaledwie 3 osób.

Szpalty sportowe w pismach znów przypomniały rubryki kryminalne. Tym razem chodzi o działaczy poznańskiego KKS, którzy za nieetyczne postępowanie otrzymali od PZPN surowe wyroki. Trzy z nich opiewają na 5 lat dyskwalifikacji. Coraz częściej sypią się kary, ale czy tylko zdołają one poskromić nieetycznych działaczy? W okresie zimy przypadają walne zebrania organizacji sportowych, wyborcy nowych zarządów mają więc okazję do skrupulatniejszej selekcji ludzi w których ręce zamierzają powierzyć losy swoich organizacji.

Ujeżdżalnia. która miała rozwiązać brak hali na imprezy bokserskie w Warszawie, nie zdała egzaminu podczas drugiego meczu z Węgrami. Mecz ten był typowym przykładem, w jaki sposób nie wolno organizować imprezy. Nasza publiczność meczów bokserskich jest szczególnie... dynamiczna, a na tym meczu nie zrobiono nic, co by wyglądało na chęć ujęcia w karby żywiołowych widzów; przeciwnie dano publiczności wszystkie atuty (ciemność przy wejściu i ciasnota), aby zachęcić ją do tym większej dezorganizacji.

Sprawa słynnego już dziś meczu bokserskiego Grochów — Warta przybrała nieoczekiwany obrót. Okazuje się, że Warta nie wycofała protestu natomiast wycofał się z Warty jej wiceprezes, który będąc inicjatorem wycofania protestu,—co wreszcie zakończyłoby tę niemiłą sprawę — nie uzyskał w gronie zarządu Warty większości dla swego wniosku.

W dniach 9, 10 i 11 stycznia odbywa się w Warszawie II ogólnopolski turniej piłki ręcznej Spółdzielczych Klubów Sportowych. W zawodach reprezentowane są: Bydgoszcz, Grudziądz, Kraków, Krosno nad Odrą, Łódź, Olsztyn, Radom, Rzeszów, Toruń, Wrocław i Warszawa. Ogółem w turnicju bierze udział 29 drużyn w piłce siatkowej i koszykowej w konkurencji żeńskiej i męskiej.

OPŁATEK SPÓŁDZIELCZY

Według ustalonej tradycji doroczny opłatek czołowych działaczy spółdzielczości odbywa się co roku w „Społem", w dniu Trzech Króli.

Tegoroczny opłatek miał charakter wyjątkowo uroczysty z uwagi na moment wkroczenia spółdzielczości w nowy etap rozwojowy.

Opłatek odbył się w sali konferencyjnej „Społem", gdzie licznie przybywających gości witał prezes Żerkowski na czele Zarządu „Społem". Na uroczystość przybyli: wicepremier Korzycki, ministrowie: Rapacki i Podedworny. przedstawiciel Narodowego Banku Polskiego, wicemin. Drożniak, wiceministrowie: Grubecki. Sokołowski i Grosicki, przedstawiciel Komisji Centralnej Związków Zawodowych, Kuryłowicz, prezes Zw. Samopomocy Chłopskiej, Dura oraz przedstawiciele poszczególnych organizacji spółdzielczych, a więc władze Zw. Rewizyjnego z prezesem Pszczółkowskim na czele, prezes Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Kuszewski, prezes S. P. B., inż. Piróg, prezes Warsz. Federacji Spółdzielni, Świerkosz, reprezentant spółdzielczości wojskowej, Wertheim, prezes Zw. Zawodowego Pracown. Spółdzielczych. Michalski, sekretarz generalny Jędrzejewski, kierownicy poszczególnych wydziałów „Społem" i różnych ośrodków życia spółdzielczego.

Prezes Żerkowski witając przybyłych, zbilansował osiągnięcia „Społem" w minionym roku, podkreślając specjalnie udział „Społem" i spółdzielczości w zagospodarowaniu Ziem Odzyskanych. Następnie przemawiali: wicepremier Korzycki, prezesi: Pszczółkowski. Dura, Świerkosz, Michalski i Kuszewski.

Po części oficjalnej odbyła się „szopka spółdzielcza", która, w krzywym zwierciadle humoru przedstawiła sylwetki poszczególnych działaczy spółdzielczych oraz mające nastąpić zmiany strukturalne.



W Prezydium Rady Ministrów odbyło się powitanie Nowego Roku. Okolicznościowe przemówienie wygłosił premier Cyrankiewicz.



...a potem ogólna zabawa w przyjemnym nastroju.



Ludwik Sempoliński (w roli posiańca warszawskiego) dał w stolicy w okre- [illegible]



Król rumuński Michał abdykował i wraz z rodziną i najbliższą świtą opuścił Rumunię.

HELIODOR KUC

AGATKO, GDZIE TY?

Satyryczno-parodystyczna

POWIEŚĆ KRYMINALNA



VIII.

(Ciąg dalszy)

Wzmiankowaliśmy już, że artykuł red. Nermica znalazł natychmiastowe echo — mianowicie w sercach kobiet haparandzkich. Stało się to w ten sposób: w Haparandzie istniały dwie wielkie organizacje kobiece, niestety, musimy to stwierdzić obiektywnie, wrogie sobie, stojące na przeciwnych biegunach. Jedna nosiła nazwę Patriotycznej Unii Pań Arystokratycznych (PUPA), druga — Postępowej Unii Kobiet (PUK). Same nazwy dostatecznie tłumaczą zabarwienie społeczne obu organizacyj. Artykuł Nermica wywołał wśród członkiń tych organizacyj nieopisany entuzjazm. Odbyło się walne zgromadzenie wszystkich kobiet, które powzięły odnośną uchwałę. Wyrazem jej stał się adres, złożony gubernatorowi, gdzie między innymi czytaliśmy:

„Dostojny Włodarzu! W tragicznej chwili, gdy na nasz gród, odwieczną strażnicę prawa, moralności i obyczajów, spadł cios tak bolesny i dotkliwy, gdy ślepy a zawistny los doświadcza go okrutną próbą — my, kobiety harapandzkie, w zrozumieniu... i tam dalej (podajemy to w skrócie) w poczuciu... biorąc pełną odpowiedzialność... w obliczu potomności i historii... postanawiamy.... precz z prywatą i egoizmem partyjnym... Odtąd nie ma różnic wśród niewiast haparandzkich... Niech żyje Zjednoczenie Apolityczne Demokratycznych Organizacyj Kobiet (ZADOK)! Na twe szlachetne ręce, Dostojny Włodarzu, składamy uroczyste ślubowanie...“ I tam dalej.

Jednocześnie z inicjatywy Krajowej Agencji Telegraficznej (KAT), Haparandzkiej Agencji Prasowej (HAP), Haparandzkiej Informacji Politycznej (HIP) oraz Haparandzkiej Uniwersalnej Reklamy (HUR) odbył się na placu Tryumfalnym, przed oknami pałacu gubernatorskiego, olbrzymi wiec przy udziale stutysięcznych tłumów i megafonów, na którym zapadły następujące uchwały:

„Obywatele miasta Haparandy, stojąc zawsze na straży ładu, spokoju i praworządności, znalazłszy się w obliczu niesłychanego faktu, jaki miał miejsce dn. 13 maja r.b. o godz. 9 z rana w Zoo, i pragnąc w związku z powyższym wyrazić swoje najgłębsze zaniepokojenie, uchwalili na samorzutnym wiecu co następuje:

„1. Uznać porwanie córeczki JWPana Gubernatora hanaradzkiego za fakt, nie podlegający najmniejszej wątpliwości;

„2. Uznać w tym fakcie wyraźny zamach na całość i dobro kultury życia rodzinnego w Haparandzie;

„3. Uznać, że centralne władze państwowe Politanii winny bezwzględnie i stanowczo zabronić porywania dzieci w myśl odnośnych ustaw o opiece nad matką i dzieckiem tudzież art. XII. punkt 23, lit. B. Konstytucji Krajowej, biorącego pod osłonę państwową życie rodzinne obywateli;

„4. Wyrazić JWPanu Gubernatorowi haparandzkiemu najgłębsze współczucie i zapewnienie najściślejszej jednomyślności".

Powyższy, suchy i może nieco nudny rejestr faktów musieliśmy jednak podać do wiadomości czytelnika, a to dlatego, że: 1) zniewolił nas po temu, jak się już rzekło, obowiązek kronikarski; 2) czytelnik winien sobie wytworzyć możliwie dokładny i szczegółowy obraz Haparandy i stosunków, panujących tutaj; 3) główny bohater naszej powieści komisarz Monk, jak wiadomo, zasnął na dwie godziny, aby nabrać sił i energii do dalszej owocnej pracy.

Cóż mieliśmy w ciągu tych dwóch godzin robić, gdy śledztwo i poszukiwania ustały? Ale oto komisarz Monk już się budzi, z niezawodną punktualnością; już wysuwa głowę spod pledu, przeciąga ramiona, ziewa jeszcze, patrzy w malowidło, wiszące nad kanapą, a które wyobraża Zuzannę po kąpieli: otrząsa się jeszcze z niedospania, a może z miłych marzeń sennych, i mówi do siebie:

— Swoją drogą trzeba przyznać, że ta Marysia jest fest zbudowana. Zupełnie, jak ta Zuzanna... No, ale do pracy, mój stary! Djabli ją nadali...

A właśnie służąca komisarza, która miała go obudzić, nastawiła radio, i z eteru popłynął hymn politański: „Hej-ho, hej-ho! Do pracy by się szło!“

ROZDZIAŁ IV

Dwa listy. — W oczekiwaniu telefonu. — Uwaga o doskonałych urządzeniach miejskich w Haparandzie. — Wyprawa gubernatorowej. — Jest dziecko, ale nie to! — Zaczyna się pościg.

Czytelnik przypomina sobie zapewne, że komisarz Monk zabierał się do snu w owej właśnie chwili, gdy po raz trzeci zadzwonił gwałtownie w jego gabinecie telefon gubernatora.. Tym razem śmiertelnie znużony Monk machnął na wszystko ręką, okręcił głowę pledem i kazał powiedzieć swej służącej, że wyjechał w teren. Wyspawszy się i ogarnąwszy, ruszył sprężystym krokiem do pałacu!

— Natychmiast do gabinetu, natychmiast! — przywitał go dr Feder z oznakami najwyższego pomieszania i zniecierpliwienia: — Ekscelencja czeka od dwóch godzin!

Tym razem była to prawda, albowiem Monk spał rzeczywiście dwie godziny.

— To trudno — odpowiedział Monk dość lekceważąco, pomny na szczególne pełnomocnictwa, jakich mu udzielił gubernator, i śmielszy być może skutkiem tego, że nerwy miał pokrzepione snem: — Cóż ja na to poradzę? Nie mogę się przecież rozerwać. Dwie godziny tłukłem się jak dziki osioł w terenie ale się opłaciło: parę nici mamy już w rękach; niezadługo dojdziemy do kłębka — dodał z tryumfem, zacierając ręce.

— He, he, he — zachichotał zjadliwie dr Feder: — zdaje się, że pańskie nici to pajęczynka wobec tego powroza, jaki trzyma ekscelencja. He, he! Ale to nie moja rzecz — mówił, świdrując oczami Monka, który uczuł, że blednie: — w gabinecie dowie się pan komisarz o wszystkim.

Powróz — to bardzo nieprzyjemne słowo: przypomina jakoś stryczek i szubienicę. Monkowi wydało się, że obrzydliwy Feder po prostu radzi mu bezczelnie, żeby się powiesił. Odbiegła go natychmiast pewność siebie, i jak zbity pies wszedł do gabinetu gubernatora.

Gubernator siedział przy biurku, podparłszy się dłonią, zgnębiony i zmieniony na twarzy. Obok stała gubernatorowa, z podkrążonymi od płaczu oczyma, roztrzęsiona, drżąca jak galareta. Gdy Monk wchodził, dosłyszał jej ostatnie słowa, zwrócone do męża:

— A ja ci powtarzam, Auguście, że nie ma na świecie siły większej nad instynkt macierzyński, który nigdy nie zawodzi.

— Dobrze, Jolanto — odpowiedział gubernator, dając ręką Monkowi znak, by się zbliżył: — Rób, jak chcesz. Zgadzam się na wszystko. Nie mogę się już w tym rozeznać, chyba, że pan komisarz znajdzie jakąś jasną drogę w tej matni. Zresztą, niech się dzieje wola Boża.

— Nie pożałujesz tego, Auguście — powiedziała gubernatorowa, całując męża w głowę: — Omówcie panowie wszystko, ale pamiętaj, Auguście, że ja jestem zdecydowana. — Co rzekłszy, gubernatorowa skinieniem głowy pożegnała panów i opuściła gabinet bocznymi drzwiami.

Rozmowa małżonków była dość zagadkowa. Monk zajął postawę wyczekującą, ale pewność siebie powróciła doń, gubernator bowiem nie wywierał wrażenia człowieka, który chce mu grozić powrozem.

— Niech pan siada, panie komisarzu — powiedział uprzejmie: — Nie wątpię, że pan dużo zdziałał w terenie przez te parę godzin, ale tymczasem tu zaszły rzeczy istotnie dziwne i niepokojące. Przede wszystkim niech pan to przeczyta — gubernator podał Monkowi dwa listy: — ten jeden widział już pan u mnie. Nie chciałem go panu wówczas pokazać, nawet dość niezręcznie skleciłem jakąś historyjkę, w którą pan, oczywista, nie uwierzył. Ale miałem po temu powody natury osobistej: toczyłem wówczas ciężką walkę, zmagał się we mnie obowiązek obywatelski z miłością do dziecka — głos gubernatora zadrżał wzruszeniem: — wyszedłem z niej zwycięsko: nigdy nie przystanę na to, co mi czarnorękale proponują. Raczej niech jedyne dziecko moje... O Boże, czemu mię tak doświadczasz?! — gubernator wyjął z kieszeni munduru chustkę, pachnącą „Old Lavende“ i przytknął ją do oczu: nawet tak silny człowiek jak on miał swoje chwile załamania: — Ale dość tego, niech pan czyta.

Pierwszy list pochodził od czarnorękalów. Koperta była dla niepoznaki ordynarna, ale list napisany był, jak u nich zwykle, na kartce wytwornego bristolu z wyzłoconymi brzegami, zaopatrzony pieczęcią, wyobrażającą czarną dłoń z napisem w otoku: „To jeszcze nie wszystko". Był krótki, lecz pełen brzemiennej treści. Żądał natychmiastowego wypuszczenia z więzienia Pifa, Pata i Hosy, schwytanych ubiegłej nocy, wyznaczał termin do dn. 15 maja godzina 24, a w razie niewypełnienia żądania groził śmiercią Agatki i dostarczeniem jej zwłok, jako dowodu rzeczowego, przesyłką pocztową do pałacu gubernatorskiego na drugi dzień po upłynięciu terminu, t.j. dnia 16 maja.

— Mamy trzy dni czasu — powiedział gubernator, patrząc na Monka, który stał jak rażony piorunem: — To dużo. Coś można przedsięwziąć. Listu tego nie pokazywałem żonie ze względów zrozumiałych. Natomiast ten drugi przyszedł popołudniową pocztą na jej nazwisko...

— Miałem jednak rację — zdobył się Monk na uwagę: — kiedym chciał, żeby naczelnik poczty oddawał mi całą korespondencję, nadchodzącą do ekscelencji. Ale ten kretyn Nr 6969...

— Mniejsza z tym — przerwał gubernator: — Może nawet lepiej się stało, że listy były bezpośrednio do nas. Otóż, jak pan słyszał, żona moja postanowiła uczynić to, czego żądają tutaj. Wierzy w instynkt macierzyński.

Drugi list pisany był ołówkiem, gryzmołami, pełen błędów gramatycznych. Mógł go rzeczywiście pisać półanalfabeta, lub przeciwnie, inteligent, który, podszywając się pod prostaka, posłużył się w pisaniu lewą ręką. Monk czytał z naprężoną uwagą:

„Szanowna Pani, chcesz Pani dzieciaka odzyskać, jest na to sposub. Jeździsz Pani sama ałtem, wsiądź do swej lemozyny i jedź wedle tego, jak dzisiaj o godz. usmej wieczur zadzwonimy. Niedaleko od miasta, puł godzinki drogi. Tam dostaniesz swoje dzieciontko, za opłatą 5000 dukatuf. Pieniąc niewielki, dla Pani nic nie znaczący, a jeśli czasowo nie masz Pani pod ręką gotuwki, pożycz gdzie albo sprzedaj pierścień z brelantem czyli też swoje brajtszfance[1]), bo lato idzie i futro niepotszebne, a kochajonca matka dla dziecka na wszystko pujdzie. Do usmej masz Pani dosyć czasu na pomyślenie i te tranzakcje. Ale policji ani mężulkowi ani dudu, bo wszystko przepadnie, a tak dziecko będziesz miała Pani napewno, za co chonorem ręczymy. A jak się policja dowie, to ryzyko dla Pani wielkie, bo my ludzie nie w ciemie bite i droga będzie przez nasze czujki dobrze obstawiona. Czekaj Pani spokojnie i z czystem sumieniem na telefon. Związek Ludzi Dobrej Woli“.

— Co pan na to — przerwał gubernator rozmyślania Monka: — Jest w pół do ósmej. Trzeba coś postanowić, chociaż wątpię, by się dało żonę moją odwieść od jej zamiaru. Zdecydowana jest jechać swym Buickiem, i pieniądze ma już przygotowane w złocie, w woreczku na piersiach.

Monk, którego w pierwszej chwili list czarnorękalów poraził jak grom, ochłonął już był, i mózg jego pracował już sprawnie.

— Ekscelencjo — powiedział: — co się tyczy pierwszego listu, nie wierzę, by czarnorękale mieli Agatkę w swych rękach. Ani na miejscu przestępstwa w Zoo, ani w jaskini Jana Kura (tu Monk w dwóch słowach poinformował gubernatora o wszystkim, co zaszło) nie znaleźliśmy żadnego ich śladu, a wiemy przecie, że nic nie zwykli robić bez biletu wizytowego. Myślę więc, że list, acz niewątpliwie od nich pochodzi, jest podstępem, próbą szantażu. Dowiedzieli się, że Agatka zginęła, i chcą z tej mąki upiec chleb dla siebie, chcą wymusić na ekscelencji zwolnienie swych hersztów.

— I ja tak sądzę — zauważył gubernator: — i dlatego wyszedłem zwycięsko ze wspomnianej walki, którą stoczyłam w swym sumieniu gubernatora i ojca.

— Dobrze ekscelencja zrobił. Stała by się niepowetowana szkoda, gdyby ekscelencja zwolnił zbirów bez porozumienia się ze mną... Z kolei, jeśli chodzi o list tych ludzi dobrej woli — Monk uśmiechnął się z przekąsem: — kto wie, czy istotnie nie mają Agatki. Trzeba przypuszczać, że to sprawka Kura, którego bezwolnym, posłusznym narzędziem jest nieszczęsna Marysia, jak widać zakochana w nim, niestety, do szaleństwa...

I tu rozwinął Monk przed gubernatorem hipotezę, którą już powziął był, o czym zapewne pamięta Czytelnik, a której potem, pod wrażeniem ucieczki Marysi, zaniechał. Polegała ona na tym, że Marysia, idąc do Zoo, spotkała się z kochankiem, któremu w ten czy inny sposób, zniewolona przezeń czy też zahipnotyzowana jego pawiańskim urokiem, oddała dziecko wraz z płaszczem gubernatorowej, a potem, być może nauczona przez niego, narobiła w Zoo alarmu, żeby to wszystko zwalić na czarnorękalów, o których wiedziała, że grasują w mieście. Ślusarz zawinił, a kowala miało się powiesić! Teraz zapewne Marysia — swoją drogą biedna dziewczyna! — jest razem z Kurem, Agatka z nimi, są w pobliżu Haparandy. Kurowi chodzi o to, żeby najprędzej wydobyć 5000 dukatów i może puścić się do Ameryki, bo i tak policja i żandarmeria szukają go jako dezertera. On ją na pewno rzuci... Szkoda dziewczyny. Ale cóż? Wszystkie one takie — głupie i naiwne. Zamiast sobie poszukać porządnego męża czy kochanka...

---

[1]) **Brajtszwance**, nazwa niemiecka; dosł. „szerokie ogony", po polsku: wyporki. Cenne futro, noszone przez elegantki bez serca, jest to bowiem futerko baranków perskich, wydobytych z łona matki przed urodzeniem. (Przyp. autora).

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ZIOŁA TO ZDROWIE

Jeśli odtąd w kolumnie ukazywać się będą interesujące Czytelników uwagi o zielarstwie, to zawdzięczać je należy słusznej inicjatywie Redakcji „Tygodnia", doceniającej znaczenie ziół przede wszystkim w powszechnym zastosowaniu domowym. Autorami będą znawcy poszczególnych problemów zielarskich jak uprawy, zbioru ze stanu naturalnego, przetwórstwa itd. Zespół znawców zaprasza Czytelników do korzystania z otwartej przy tej okazji skrzynki zapytań, kierując je pod adresem „Tygodnia" z dopiskiem „Porady zielarskie". Odpowiedzi umieszczać będziemy w kolumnie „Zioła to zdrowie". Dla uniknięcia zastrzeżeń, wyjaśniamy, że nie mają one zastąpić lekarza — bo aptekom przecież nie zrobią konkurencji — a jedynie ułatwić używanie ich w zakresie domowym, tak jak powszechnie stosowanej aspiryny, cybalginy, cybalosu nawet bromu i szeregu innych środków chemicznych dostępnych wielokrotnie bez recepty lekarskiej w aptekach i częściowo drogeriach.

Podbiał (Tussilago Farfara L.). — Znacie tę roślinę na pewno. Pojawia się obficie na rumowiskach i gruzach. Często już w końcu lutego ukazują się wpierw złocisto-żółte, pachnące miodem kwiatki. Zastosowanie głównie mają liście zawierające ślady olejku eterycznego, garbniki, 17% substancji mineralnych, nieznaczne ilości goryczki, kwas winny, jabłkowy, fosforowy.

Wewnętrznie stosuje się je drogą inhalacji przy uporczywym suchym koszlu. W postaci naparu przy przeziębieniach, dolegliwościach przewodów oddechowych, kaszlu, zaflegmieniu, chrypce, katarach, przy skrofulozie, blednicy.

W medycynie ludowej używa się w tych samych wypadkach sproszkowanych wysuszonych liści i główek kwiatowych (na czubku noża). Nadto zewnętrznie w okładach soku z świeżych liści przy zapaleniach i wrzodach.

Bez czarny (Sambucus Nigra L.). To znany krzew, kiedyś otaczany dużą pieczołowitością i czcią. Trudno się temu dziwić, gdyż stanowi jakby „żywą aptekę". Zastosowanie znajdowały wewnętrznie zarówno kwiaty, dojrzałe owoce, liście i kora jako środki napotne, moczopędne, wymiotowe. Zawierają 1.5 do 3.4% olejku eterycznego, nieco garbnika, goryczki (akoryny), śluz i in.

Głównie używa się naparu kwiatów, odwaru owoców (jagód) w wypadkach przeziębienia, dolegliwościach przewodów oddechowych, nerek i pęcherza, reumatyzmu i obstrukcji. Owoce regulują trawienie. Płukanie naparem łagodzi dolegliwości jamy ustnej. Naparu z kwiatów używa się wewnętrznie jako środka czyszczącego krew, przy wyrzutach skórnych; zewnętrznie: jako okłady przy obrzękach i zapaleniach. W połączeniu z kwiatem rumiankowym i lipowym kwiat bzowy jest doskonałym środkiem napotnym.

Tatarak pospolity (Acorus Calamus L.). Któżby nie znał tataraku. Przywędrował do nas z dalekiej Azji. Wzmianki o nim znajdujemy już w pismach obrazkowych starego Egiptu. Kłącze tataraku jako wspaniały środek o aromatycznym smaku i zapachu mają bardzo szerokie zastosowanie. Odwar z kłączy stosuje się przy przeziębieniach, kaszlu, jako środek rozgrzewający, dalej przy dolegliwościach wątroby, nerek, żołądka, zemdleniach. Działa wiatropędnie, dezynfekująco, wzmacnia apetyt, odflegmia. Żucie kawałków kłączy łagodzi ból zębów i ujędrnia dziąsła. Wysuszony, sproszkowany i dodany w połowie do kredy szlamowanej daje wyborny proszek do mycia zębów. Jest przy chorobach kobiecych doskonałym środkiem wzmacniającym. Wspaniałe rezultaty dają wzmacniające kąpiele z dodatkiem mocnego odwaru tatarakowego przy wielu dolegliwościach systemu kostnego, nadto u dzieci rachitycznych i skrofulicznych. W wypadkach przemęczenia i osłabienia nerwowego starszych i dzieci dobre rezultaty osiąga się poza kąpielami tatarakowymi przez nacieranie pleców rozcieńczoną nalewką tatarakową względnie rozcieńczonym olejkiem tatarakowym. Ostatni produkowany już w Polsce, używany w ilości 15 kropli dziennie wzmacnia pamięć, usuwa złe samopoczucie.

Kłącze smażone w cukrze są smakołykami.

15.000 hektolitrów piwa
produkuje rocznie browar parowy „Społem" w Łańcucie

Przejęty przez „Społem" Browar Parowy w Łańcucie pracuje, wykorzystując pełną zdolność produkcyjną. Zdolność ta w ostatnim okresie gospodarczym, została wybitnie powiększona i wynosi obecnie 15.000 hektolitrów piwa rocznie. Dało się to osiągnąć dzięki zmodernizowaniu urządzeń Browaru, w które w 1947 roku zainwestowano dwa miliony złotych.

Placówka zatrudnia 68 pracowników, pracuje rentownie, przynosząc za pierwsze trzy kwartały 1947 roku około 12 milionów złotych nadwyżki.

Kierownictwo Browaru w osobie Jana Koźmińskiego ma duże trudności w zaopatrzeniu placówki w podstawowe surowce: jęczmień i chmiel. Dostateczny jednak zapas tych surowców zdołano zabezpieczyć. (a)

PRODUKCJA WŁASNA
SPÓŁDZIELCZOŚCI ŁÓDZKIEJ

Struktura gospodarcza Rzeczypospolitej została wyraźnie określona zasadniczymi ustawami państwowymi. W tej strukturze spółdzielczości wyznaczono odpowiednią rolę, nakreślono dość szerokie ramy działania, których wypełnienie treścią życiową zależeć będzie w dużym stopniu od energii, inicjatywy i sprężystości kierowniczych ciał spółdzielczości polskiej. Nie tylko to — od stopnia wyrobienia fachowego i ideowego zespołu pracowniczego, zatrudnionego w spółdzielczości, umiejętnego oddziaływania na masy zainteresowane, umiejętności powiązania dobra ruchu spółdzielczego z dobrem jednostki, uaktywnienia rzesz członkowskich, wciągnięcia ich do pracy na poszczególnych placówkach.

Ale aby spółdzielczość należycie wywiązała się ze swych zadań potrzeba, aby oparła się na trzech podstawowych założeniach. Pierwszy — sharmonizowała swoją działalność gospodarczą z działalnością tego działu, który przeszedł całkowicie w ręce państwa, była związana mocnym węzłem spólnoty z naczelnymi organami kierującymi sektorem państwowym z ich planami.

Drugi — oparła się na czynniku społecznym przez samorząd spółdzielczy.

Trzeci — posiadła własne środki finansowe oraz własne wytwórnie tych artykułów, które zaspokajają codzienne i elementarne potrzeby przeciętnego spożywcy. Spółdzielczość w imię interesu społecznego, dla dobra swych konsumentów nie może być skazana na rozprowadzanie na rynku towarów pierwszej potrzeby, obciążonych kosztami pośrednictwa. Musi sama wytwarzać; aby wytwarzać, musi mieć swoje wytwórnie; aby posiadać wytwórnie, musi znowu posiadać fundusze odpowiednie na uruchomienie ich. Operowanie kredytami demoralizuje spółdzielców, osłabia ich więź materialną z instytucją, powoduje zanik zainteresowania się nią, bowiem, całkiem zrozumiałe psychologicznie jest stanowisko tego lub owego członka spółdzielni. Toć on nie zainteresowany materialnie z instytucją lub słabo jakimś „ekstra" przydziałem dla członków, staje się figurantem, martwą duszą, oziębłym obserwatorem, nie żywym i czującym członkiem. I dlatego na gwałt potrzebne jest uregulowanie



kwestii wysokości udziałów, podniesienie ich do realnej wartości w dzisiejszych warunkach ekonomicznych. Wszelkie poczynania w dziedzinie stworzenia placówek produkcji w dzisiejszym stanie to paliatywy (półśrodki) kręcenie się w kółko i raczej łatanina.

Mimo tych trudności, jeśli chodzi o Łódź, należy zanotować bardzo poważne osiągnięcia w dziedzinie stworzenia własnych warsztatów produkcji tych artykułów, których wytwarzanie nie nastręcza zbyt wielkich trudności tak w otrzymaniu surowca, jak i technicznego przygotowania oraz kapitałów.

A więc zrekonstruowano i odnowiono, przystosowując do współczesnych wymogów higieny dwanaście piekarń mechanicznych, dających przeszło 40 ton chleba dziennie. W toku budowy znajduje się olbrzymia piekarnia, fabryka pieczywa, obliczona na wypiek dzienny 50 ton. W połączeniu z wytwórczością już istniejących piekarń, da to dziennie około stu ton pieczywa; jest to już bardzo poważne zasilenie rynku miasta, nawet tak dużego jak Łódź w towar dobry, wykonany higienicznie, rozprowadzany niezwłocznie w odpowiednie przystosowanych środkach lokomocji. Przy tym, co trzeba podkreślić z naciskiem, Łódź przestanie być igraszką w rękach spekulantów, zwłaszcza w okresach trudniejszych, na przykład w dobie przednówkowej.

Uzupełnieniem zamierzeń jest przejęcie dwóch wielkich młynów jednego w Łęczycy, drugiego w Łodzi. Odremontowane dużym nakładem środków, mogą dostarczyć około pięćdziesięciu ton mąki dziennie, w projekcie jest dalsza rozbudowa i podniesienie wydajności do stu ton, czyli do wysokości zapotrzebowania własnych piekarń.

Z innych wytwórni, uruchomionych przez Powszechną Spółdzielnię Spożywców w Łodzi należy wymienić:

Rozlewnię octu, uruchomioną w jesieni 1946 roku, rozlewnię piwa, fabrykę wód gazowych, palarnię kawy i fabrykę cykorii, kwaszarnię kapusty i ogórków. Bardzo dużym plusem w walce o kieszeń konsumenta i niezależność P.S.S. jest przejęcie fabryki **wyrobów mięsnych**, istniejącej pod nazwą „Konserw-Eksport". Fabryka wytwarza wędliny i dostarcza mięso instytucjom społecznym oraz zaopatruje własne sklepy spożywcze i nowootwierane w różnych punktach miasta sklepy masarskie. Dotychczas otwarto ich 10, dalsze dziesięć zostanie otwartych w najbliższym czasie. Dążeniem spółdzielni jest, aby każdy sklep PSS posiadał wyroby mięsne.

W budowie znajduje się kaszarnia o zdolności wytwórczej ponad 4 tony dziennie. Piekarnie, młyny, kaszarnia, stanowić będą kompleks wytwórni, związanych w całość, wpływających znakomicie na regulację rynku i hamowanie spekulacyjnych zapędów.

Niewielki w roku 1945 wydział produkcji P.S.S. rozrósł się w ciągu ostatnich dwóch lat w potężny zespół różnorodnych wytwórni, których obroty przekraczają obecnie miesięcznie 60 milionów złotych. Obok wytwórni produkcyjnych prowadzi spółdzielnia specjalne warsztaty remontowe, zorganizowane w wydział techniczno - gospodarczy, oraz posiada własny transport mechaniczny i konny. Warsztaty gospodarcze przeprowadzają we własnym zakresie wszelkie, nawet kapitalne remonty wozów mechanicznych i konnych, kucie koni, remonty sklepowe wraz z odnawianiem wnętrz, szkleniem, a nawet budową urządzeń sklepów. Warsztaty remontowe mają zadanie usuwać natychmiast wszelkie braki i uszkodzenia w nieruchomościach, ruchomościach, maszynach i urządzeniach. Posiadanie własnych, szeroko rozbudowanych i dobrze urządzonych warsztatów zapewnia spółdzielni sprawność techniczną taboru, wytwórni i innych działów.

Transport posiada 42 samochody ciężarowe, 73 konie, platformy, furgony piekarskie i masarskie, ponadto samochody osobowe. Tabor P.S.S. przewozi około 3.000 ton towarów miesięcznie.

W. Karczewski

Rozpoczynamy produkcję lamp radiowych w kraju



JUŻ WKRÓTCE BĘDZIEMY MIELI NAJNOWOCZEŚNIEJSZE LAMPY RADIOWE KRAJOWEJ PRODUKCJI.

Ostatnio została zawarta z holenderską firmą Philips umowa licencyjna na fabrykację lamp radiowych w Polsce. Na zdjęciu — podpisanie umowy w Centr. Zarządzie Przemysłu Elektrotechnicznego w Warszawie. Od lewej: Dyrektor Przedst. Philipsa w Polsce — K. Juraszyński. Dyr. Philipsa w Eindhoven — K. Spaens, Dyr. C. Z. Przem. Elektr. — T. Żarnecki, Dyr. Zjednocz. Przem. Radiotechn. — Łukasiak, Inż. M. Dojlicki (Polskie Radio). (Fot. Film Polski).

Józef Bartosik

Ratowanie

Moda odgrywała w naszym życiu wielką rolę. Od czasu do czasu w sztabach dokonywano nadzwyczajnych odkryć. Zbawiennymi ich następstwami obdzielano całą flotę. I tak nastała najpierw era farby.

Ktoś w admiralicji rzucił hasło: „Frontem do kamuflowania!". Wkrótce ukazały się długie i szerokie, tajne i jawne traktaty na temat taktycznego użycia i znaczenia farby. Z Londynu przyjeżdżali eksperci od kolorów, przypatrywali się okrętom, studiowali je w różnych warunkach chmur i słońca. W końcu dawali wzór, jak należy je pomalować. Były na ten temat raporty i inspekcje. Skromni, przeciętni ludzie przychodzili do wniosku, że nowoczesną tę wojnę wygra chyba nie działo, lecz farba. Dziwili się więc później, gdy świeżo malowane okręty tonęły.

Przyszedł jednak czas, że moda na farbę wygasła. Na jej miejsce pojawiła się inna, nowa epoka: — dymów. I znowu posypały się instrukcje, a wraz z nimi specjalne wydawnictwa. Równocześnie we wszystkich bazach organizowano kursy na temat zastosowania dymów w walce.

Była to nowa nasza „tajemnicza broń". „Garland" nie pozostał pod tym względem w tyle. Zapotrzebowaliśmy extra: — tuzin pław, całą masę świec, jako też granatów i pocisków dymnych. Mało tego, sami dokonaliśmy przy tym wspaniałego wynalazku, przeprowadzając własnym pomysłem i pracą przewody elektryczne z pomostu na rufę. Na miejsce ręcznych, typowych zapalników, wstawiliśmy — specjalne, elektryczne. Było to „dalo-dymienie". Pociągnięcie kontaktu na pomoście powodowało zapalenie pławy na rufie.

Oficer — artylerzysta i puszkarz chodzili strasznie dumni z tego powodu. Przy wynalazku odprawiali prawdziwe nabożeństwa. Co wieczór i każdego rana, przy zmianie amunicji na pokładzie, odbywały się inspekcje i próby „dalo - dymienia". Towarzyszyły temu dzwonki, pokrzykiwania przez multifon i mrugania kontrolnych lampek. Jakkolwiek mogły być inne nasze zaniedbania, w tej przynajmniej dziedzinie „Garland" był tak przysposobiony do boju, jak żaden okręt.

Aż pewnej nocy nastąpił — krach. Konwój nasz płynął wtedy o jakieś dwieście mil na zachód od hiszpańsko - portugalskiej granicy, sterując południowym kursem. Większość statków w konwoju tym wyładowano wojskiem. Drogą okrężną, dokoła przylądka Dobrej Nadziei, zdążało ono właśnie na Bliski Wschód aby zasilić armie brytyjskie w Egipcie. Od samego rana, sygnały admiralicji ostrzegały nas przed nieprzyjacielskimi okrętami podwodnymi.

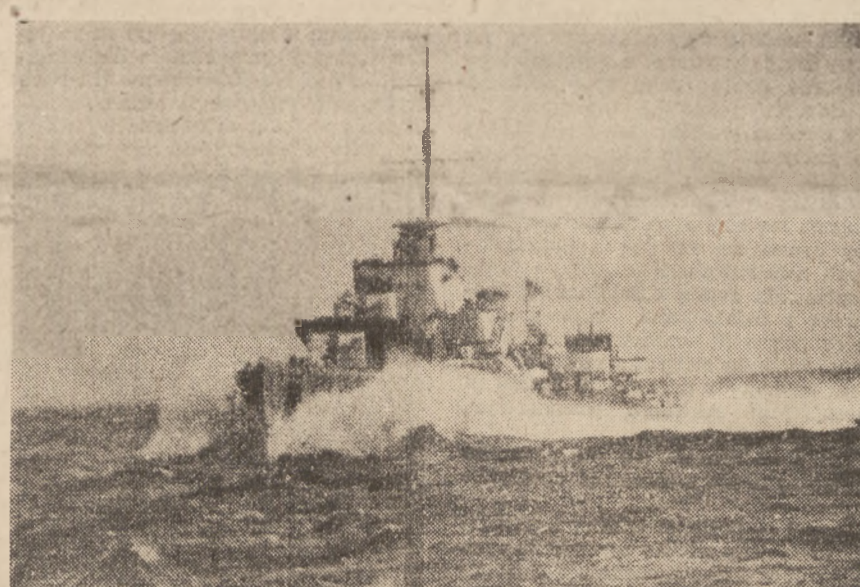
Było to w połowie czerwca, noc więc nastała parna i ciemna. Z pomostu, ledwo można było domyśleć się, gdzie znajduje się najbliższa kolumna konwoju. Z dołu od wachtowego działa, dochodziły ściszone rozmowy obsługi. W pewnej chwili, na załamaniach maski i szybach pomostu pojawiły się czerwone odblaski. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że cała rufa stoi w płomieniach. — Źródło ognia musiało być dość nisko, za nadbudówką. Z pomostu nie było go widać. W dodatku nad działem „trzy" — zawisła ciemna chmura dymu.

Gdy przybiegliśmy na rufę, sprawa wyjaśniła się szybko. Ze środkowej pławy wachtowej buchały snopy iskier i długie, syczące języki płomieni. Były one skierowane ku górze, ale śmiesznie poziomo i na boki, jak ramiona rozgwiazdy. W ciemnościach nocy, musieliśmy sprawiać wrażenie pochodni, widocznej z daleka, zwłaszcza dla czatujących dookoła niemieckich okrętów podwodnych. Myśl o nich nie dawała czasu na dłuższe refleksje: — pławę należało zagasić, za wszelką cenę i to jak najszybciej.

Wykonanie tego nie było jednak tak łatwe. Uruchomienie hydrantów nie miało w tym wypadku żadnego celu, gdyż substancja chemiczna paliłaby się w dalszym ciągu nawet i bez dostępu tlenu. Pozostało jedynie wyrzucić całą banię — za burtę!

Czołgając się poniżej warstwy gryzącego dymu, znaleźliśmy się jednak w zasięgu płomieni. Dojście do pławy było odcięte. W tej opresji przyszedł nam z pomocą wiatr. Zmieniwszy kurs, poszliśmy z tą samą, co i on, szybkością i w tym samym kierunku. Walące się z pławy kłęby dymu, odwróciły się w ten sposób razem z nami, roztaczając nad okrętem, jak i nad samą pławą, gęsty, nieprzezroczysty parasol. Sławne w tym sensie powiedzenie Romera o otoczeniu się obłokiem, odnosiło się wtedy do nas w bardziej dosłownym znaczeniu, niż do wielu jego klasycznych bohaterów, którym przyszło uchodzić z pola walki. — Konwój nasz bowiem pozostał tymczasem daleko, z boku.

Fragment z książki kpt. mar. woj. Józefa Bartosika, która ukaże się niebawem pod tytułem „Wierny Okręt", nakładem Instytutu Wydawniczego „Kolumna"



Kontrtorpedowiec na patrolu.

Po pół godzinie — pława nareszcie zgasła. Zawróciliśmy więc i cichcem wsunęliśmy się na dawne miejsce w osłonie. Dopiero wtedy, po drodze, sygnalista wachtowy drżącym głosem wyspowiadał się nam z grzechu własnego, który spowodował całą awanturę. Zapowiadając oto przez telefon czas na budzenie nowej zmiany, oparł się przypadkiem ręką o przycisk „dalo-dymienia". Nie przypuszczał, że był on włączony.

Noc owa zadała naszym pławom bolesny cios, cofając ich nowoczesność przynajmniej o jedno stulecie. Zanim bowiem świt nastał, już wszystkie zapalniki elektryczne na „Garlandzie" zamieniono na dawne, średniowieczne. W dodatku na rufie, koło pław, umocowano kilka bosaków, zakończonych mocnymi hakami, aby w razie potrzeby łatwiej pozbyć się ogniska dymów. Zaczęło dnieć. Na pomoście tymczasem stanął niejeden zakład, kto pierwszy zacznie się dopytywać o nasze nocne harce i dziwną przy tych harcach zabawę z ogniem.

Lecz wszystkie reflektory milczały dyskretnie. Jakby nic nie zauważono.

Przygody chodzą w parze. Wkrótce dnia tego mieliśmy przeżyć inną.

Słońce powoli odrywało swą rozlaną, dolną krawędź od horyzontu, gdy radiostacja przez tubę przekazała nam telegram. Pochodził on od nieznanego statku, który krzyczał, że go opadło aż osiem „Junkersów". W pośpiechu zapomniał nawet podać swej nazwy. W każdym bądź razie podana w telegramie pozycja statku wypadła nieprzyjemnie blisko, o jakieś siedemdziesiąt mil na zachód. Prawie równocześnie na maszcie komodora pojawiła się flaga: — „Reja". Konwój i eskorta przygotowały się momentalnie do nalotu.

Czekaliśmy w ten sposób godzinę, potem drugą. Nikt jednak się nie zjawił. Za to, zamiast Junkersów przywitała nas wkrótce — mgła. Spadła na konwój niespodziewanie. W pewnym momencie doznaliśmy wrażenia, że weszliśmy w ścianę zimnej pary. Około dziesiątej radio podało nowy sygnał od tego samego statku, co przedtem. Tym razem podawał on, że widzi na powierzchni okręt podwodny. Przy tym wymienił wreszcie swą nazwę. Z wykazu Loyd a wynikało, że jest to nowoczesny, niebywale szybki transportowiec amerykański, wyposażony w specjalne chłodnie. Widocznie odbywał on teraz podróż na własną rękę. Trzeba tu wspomnieć, że w latach wojny, wiele szybkich statków wolało ryzykować raczej samodzielne rejsy, niż wlec się beznadziejnie w konwoju. Zresztą płacono im za tę samodzielność wysokie premie.

W południe, otrzymaliśmy nową depeszę. Tym razem statek widział już trzy kioski dokoła siebie. Około godziny drugiej Londyn przekazał długi, szyfrowany telegram. Była to decyzja admiralicji, wydzielająca z eskorty dwa polskie kontrtorpedowce na pomoc statkowi.

Gdy odchodziliśmy od konwoju, widoczność wynosiła nie więcej niż dwieście metrów. Lecz mgła gęstniała w dalszym ciągu. W tej sytuacji radiostacja nasza przychwyciła S.O.S. Znaki były zniekształcone i odbiór prawie nieczytelny. Stawiało to nasze zadanie pod znakiem zapytania. Przede wszystkim nikt z nas nie miał pojęcia o miejscu, w którym statek tonie. Ostatnią swoją pozycję podał on o szóstej rano. Od tego czasu był atakowany i wymijał okręty podwodne. Bóg jednak raczył wiedzieć, w którą stronę go one w tej chwili zapędziły i jak daleko. Zresztą przy tej widoczności odszukanie kogokolwiek na oceanie należało do kategorii cudów, nawet w wypadku posiadania dokładniejszej pozycji na mapie.

Rozstawieni równolegle z naszym sąsiadem o jakieś dwa kable od siebie, urzymując szyk przy pomocy radaru, pędziliśmy ile starczyło w kołach pary. Pod wieczór, zmniejszyliśmy obroty. Wydawało się nam, że osiągnęliśmy w każdym bądź razie rejon, w pobliżu którego mógł się znajdować poszukiwany statek. Naturalnie — o ile tylko nasze przewidywania mogły być słuszne i o ile on sam nie spoczął tymczasem na dnie.

Wpatrzeni w mleczną ścianę mgły, przepłynęliśmy w ten sposób jakieś piętnaście mil. Potem zawróciliśmy, zmieniając kurs na północ. Znowu odmierzyliśmy tę samą odległość i ponownie — bez skutku. Uganianie takie przeciągnęło się do późnej nocy. W promieniu czterdziestu mil zoraliśmy powierzchnię oceanu we wszystkich możliwych kierunkach. Nigdzie jednak nie natrafiliśmy bodaj na ślad po statku.

Koło północy zaczęliśmy już tracić nadzieję, gdy raptem, obserwatorzy nasi przy dziale „dwa" donieśli, że widzą cień na kursie. Zmniejszyliśmy natychmiast szybkość, ogłaszając jednocześnie „alarm bojowy". Dziób „Garlanda" zbliżył się powoli do wielkiej, jasnej plamy, rozlanej na powierzchni toni. Gdy przechodziliśmy obok niej, poczuliśmy wyraźnie swąd ropy i oliwy. Rozkołysane falą naszego dzioba, telepały się przed nami w wodzie jakieś bele i deski.

Jasna plama zbliżała się już powoli ku końcowi, gdy postawiony na dziobie, dodatkowy obserwator, zaalarmował pomost meldunkiem: — usłyszał krzyk. Zatrzymaliśmy natychmiast maszyny. Krzyk powtórzył się wkrótce. Tym razem usłyszeliśmy go również na pomoście. O odległości trudno tu było coś konkretnego powiedzieć, a to ze względu na mgłę, która z reguły wydłuża zasięg głosu. Głos jednak musiał pochodzić z niezbyt odległej przestrzeni, skoro w chwilę potem usłyszeliśmy wyraźny plusk. Nie ulegało wątpliwości, że był to odgłos wioseł. Gdzieś zatem przed nami znajdowała się łódź z rozbitkami.

Zasięg widoczności nie przekraczał w tej chwili pięćdziesięciu metrów. Włączyliśmy więc gigantofon. Do mikrofonu krzyknął oficer łącznikowy po angielsku:

— Zbliżcie się do burty!

Nadsłuchiwaliśmy minutę, potem drugą — nikt nie odpowiadał. Powtórzyliśmy więc znowu wołanie. Na całym okręcie zapanowała martwa cisza — wszyscy słuchali. Po chwili wreszcie czarna, mglista przestrzeń przyniosła słabe echo:

— Idę!

Krótkiemu temu słowu towarzyszył ledwie dosłyszalny plusk. Od kilku minut „Garland' stał bez ruchu. Nie było to bezpieczne ze względu na możliwe sąsiedztwo niemieckich U-Botów. Nieszczęsny statek skarżył się przecież, że ostatnio naliczył ich aż trzy wokół siebie. W niepewnej owej sytuacji, dochodzące dźwięki mogły być równie dobrze zasadzką. Toteż dla skrócenia czekania opuściliśmy na wodę własną szalupę. Odbijała właśnie od burty, gdy w prawo, przed dziobem, błysnęło nagle nikłe, czerwone światło. Od razu skierowaliśmy na nie sternika. Po kilku uderzeniach wioseł krzyknął on w kierunku okrętu przez tubę, długo i przeciągle:

— Człowiek w wodzie!

Nie były to zatem, jak przypuszczaliśmy — wiosła, ale plusk rąk rozbit-

Rozbitka

ka. Biedak chciał jednak przyjść: — „along side". Jego posłuszeństwo było wzruszające. Niebawem szalupa nasza dobiła z powrotem do burty. Bezwładnie leżącego na jej dnie rozbitka, obwiązano rzutką i ostrożnie wyciągnięto na pokład. O własnych siłach nie mógł się on utrzymać drabinki, skoro przebywał w wodzie około ośmiu godzin.

Gdy ułożono go na noszach, krztusząc się, zapytał słabym głosem:

— Czy wy Polacy? — Poczem dodał jeszcze po chwili: — Tam są dwie łodzie... I zemdlał.

Prawie w tym samym momencie nasz sąsiad, zajęty do tej chwili — dla odpędzenia czyhających łodzi pod wodnych — bieganiem w koło stojącego bez ruchu „Garlanda", zmniejszył swą szybkość. Na jego pomoście błysnęła jego lampa sygnałowa. Z nadania odczytaliśmy, że zauważył tratwę ratunkową: a niebawem, że znalazł i drugą. Wszystko zatem poszło gładko. W ciągu pół godziny rozbitkowie z obu tratw znaleźli się na pokładzie. Było ich razem trzydziestu pięciu.

Nasz własny „topielec" powoli tym czasem odzyskiwał siły. Jego ciało miało kolor szafranu. Przy dotknięciu rozstępowało się miękko, jak plasteli na, przy czym, wyciśnięty dotykiem palca dołek, nie wypełniał się przez długie minuty. Najszybciej powróciło do formy jego gardło. Była to niewątpliwie zasługa prawdziwego, jamajskiego rumu Komisarz — bo taka by ła funkcja uratowanego topielca na własnym jego statku — poznał się na naszym trudzie od razu. I poprosił o więcej.

Kolejno, przy tej sposobności rozwiązał mu się i język. Już trzeci raz w tej wojnie — opowiadał — posyłała go torpeda niemiecka do przymusowej kąpieli. Ale to nic! W Anglii sprawi sobie nowy garnitur i po dobrym urlopie zapisze się znowu na statek. Byle już nie na taki, który sam chodzi! Ostatniego, który zatonął, było mu żal — naturalnie. Przede wszystkim jednak żałował dwóch milionów jaj, jakie właśnie wieźli, no i ładunku bekonu. Taki majątek!

Zabawa wczorajsza — ciągnął dalej — zaczęła się wcześnie o świcie. Chyba sam czort nasłał na mizerny, pojedyńczy statek aż osiem „Junkersów". Obłożyły go one bombami, jak plastrem. Działka na statku strzelały do czerwoności luf. Może tylko dlatego nie udało się Niemcom go trafić. Wygarnęli jednak całą serię tuż pod jego rufą. Uszkodziło to na statku lewy Diesel, który zaciął się i stanął. Już do końca potem nie udało się go uruchomić. Wprawdzie druga śruba pracowała nadal, ale mogła ona zapewnić jedynie tylko połowę normalnej szybkości. Pomimo to mieli nadzieję, że uda im się nawiać. Zwłaszcza, gdy nastała mgła.

A była ona — twierdził — gęsta jak mleko. Cóż z tego, kiedy nawet w tym worku Niemcy ich wywąchali! Tuż przy burcie, na powierzchni, pojawił się — kiosk. Szedł spokojnie, na podobnym kursie, jakby udając, że nic nie widzi. Statek natychmiast odwrócił się rufą, i kusztykając na jednej śrubie, zaczął uciekać. Po kilku minutach U-Bot zniknął za rufą. Była to z jednej strony wiele mówiąca ostrożność. Niemiec miał przecież aparaty podsłuchowe. Jasne, że wlókł się za szumem Dieselowej śruby — krok w krok. Przytym nadawał coś ciągle przez radio, bo też telegrafista na statku niemal bez przerwy słyszał jakieś bliskie transmisje. Ostatecznie, w południe, za rufą, wyłoniły się z mgły trzy kopuły kiosków. Przez kilka godzin U-Boty szły z tyłu spokojnie, jak potulne pieski. W końcu jeden z nich wysunął się naprzód z podniesionym sygnałem: — „Zatrzymajcie maszyny"! A w ślad za nim podawał — żeby natychmiast opuścić statek, gdyż za pięć minut zostanie on storpedowany. Kapitan statku miał się przeprawić na łódź razem z dokumentami. Przytym bezwzględnie zabroniono uruchomienia radia.

Załoga statku — opowiadał w dalszym ciągu Komisarz — rzuciła się natychmiast do łodzi i tratw. Było na nim razem z pasażerami około 50 dusz. Zanim jednak pierwsza szalupa odbiła od burty, już jeden z U-Botów otworzył ogień ze swego działa. Bo radiotelegrafista na statku, nie bacząc na ostatnie groźby Niemców, zaczął wysyłać w świat S.O.S. Niemiecka torpeda w tym momencie trafiła w dziobowe przedziały. Statek przechylił się w prawo i szybko począł znikać pod powierzchnią. Niestety, Diesel pracował dalej. Uniesiona do połowy nad wodą śruba, tworzyła potężne wiry. One też wciągnęły w toń dwie z ostatnich ratunkowe szalupy, nie zostawiając nikogo przy życiu. Komisarz — wyznał to nam teraz — nigdy nie miał zaufania do łodzi. Całą nadzieję pokładał zawsze w pasach ratunkowych. W nieszczęściu, które nam tak dokładnie opisał założył na siebie aż dwa. Będąc już w wodzie, udało mu się „wygramolić na jakieś stare, pływające drzwi. Leżąc na nich na wznak, mógł ogarnąć wzrokiem sytuację. Widział więc jak do najbliższej z tratw podszedł jeden z „U-Betów". Niemcy łaskawie pocieszali rozbitków żeby się nie martwili: „Dwa kontrtorpedowce holenderskie śpieszą na wasz ratunek" — kłamali im w życie oczy. — „Będą przy was za kilka godzin. Wolimy w tym nie przeszkadzać!". Przytym pańskim gestem wyładowali na tratwę puszkę konserw.

Gdy naszemu „topielcowi" drzwi się znudziły, przeniósł się na inną, wygodniejszą drzazgę. Przytym znalazł sobie nawet zabawę — zaczął obliczać, jaki majątek przyniosłyby owe dwa miliony jaj, gdyby je zostawić na skła dany procent na 1.000 lat.

Jedna myśl nie podobała mi się tylko! — rzekł przy końcu swego opowiadnia. — To mianowicie, że możecie mnie w ciemnościach poszatkować swymi śrubami na sałatkę. Toteż ciarki mnie obleciały po odległych plecach, gdy usłyszałem z daleka pęd wody. Przekonałem się jednak wkrótce, że macie pierwszorzędnych marynarzy. Wasza szalupa podeszła przepisowo, podając najpierw rzutkę. Walnęła mnie dokładnie, prosto w łeb. Ciężkich rzutek używacie! — pomyślałem, gdy wtem do moich uszu dobiegło znajome słowo. To wasz bosakowy zaklął siarczyście. Wiedziałem, że nie po holendersku. Toż matka moja pochodziła z Kalisza. Nazywała się [illegible] i „[illegible]" [illegible] na zawsze w pamięci.

Zakończyło tę serię przygód wesołe zdarzenie.

Ledwie w Greenock zdołaliśmy wysadzić na ląd robitków, już po uzupełnieniu ropy, wyrzucono nas z powrotem na morze. Tym razem z pojedyńczym, dużym transportowcem, który mieliśmy odkonwojować do Reykjawiku. Tajemniczy sygnał ostrzegał, że „Garland" ma się przygotować do 8-tygodniowego rejsu. Na kilka godzin przed ukazaniem się gór Islandii zauważyliśmy na horyzoncie maszt, a po tem dym. Było to w okresie gdy niemieckie trawlery, uciekając się do przeróżnych sztuczek, stawiały pławy radarowe i miny w różnych stronach oceanu. Zostawiając więc transportowiec, popędziliśmy dużą szybkością w stronę masztu.

Powoli wyłoniła się z horyzontu sylweka niewielkiego, motorowego statku. Na nasz widok odwrócił się rufą i zaczął uciekać. A przytym dymił niemiłosiernie. U nas, zarządzono alarm. Wszystkie działa skierowały się w kierunku statku. Byliśmy teraz pewni, że jest to rybak. Zatrzymując się na jego wysokości, chyba nie dalej jak 200 metrów, zarządaliśmy podniesienia bandery. Z pośpiechem wcale widocznym na maszt stateczku wypłynęła nie wielka, błękitna flaga z czerwonym krzyżem w białych obwódkach. Była to bandera wolnej Islandii. Gospodarz naszej mesy — przezorny, jak wszyscy gospodarze — podsunął wtedy myśl wykorzystania sposobności dla zakupu ryb.

„Na ośmiotygodniową podróż — dowodził — nie wystarczy nam przecie świeżego prowiantu!". Gdy skierowaliśmy ku statkowi głośnik, rybak odpowiedział nam skwapliwie, potakując, wymachiwaniem rąk. Dopiero przypomnieliśmy sobie w tym momencie, że wszystkie nasze działa w dalszym ciągu patrzą na niego. Kto w takiej sytuacji duszy by z siebie nie oddał!

Nastąpił odbój, lufy wróciły „na zero". Jednocześnie spuszczono na wodę szalupę. Rybak przytaskał do jej burty pełen kosz ryb. A po nim drugi i trzeci. Posypały się z nich ryby na dno, pod stopy wioślarzy. Niektóre były jeszcze żywe i podskakując srebrzyły się w słońcu błyszczącą łuską. Rybak tak był przy tym szczodry, że mu sieliśmy naszą szalupę szybko odwołać. Zachodziła bowiem obawa, że utonie od przeładowania. W dodatku Islandczyk nie chciał przyjąć zapłaty. Po długich namowach zgodził się w końcu na kilka butelek rumu.

Przy kolacji, nasz kapelan psioczył trochę na rozbój morski i — przeciwny konwencji — handel alkoholem z rybakami. Zajadał jednak kraba z talerza, aż miło było patrzeć.

Ryby owe stanowiły potem główny nasz pokarm podczas wyprawy na Spitzbergen. Uratowały nas od głodu, a w każdym bądź razie — od konserwowych puszek.



Łódź ratunkowa „Garlanda".

KONIEC TRAGICZNEGO DYKTATORA

(Dokończenie ze str. 6-ej)

Słowo „decadenza" niemile zabrzmiało w prawie pustym pokoju.

— Upadek?

— Oczywiście! Jestem człowiekiem skończonym. Moja gwiazda zbladła. Pracuję i próbuję się opanować, ale to już tylko farsa. Oczekuję końca tragedii. To zabawne—od lat czułem się chory, jadałem tylko wieprzowinę, nie paliłem, nie piłem. Dziś jestem zdrowszy, niż kiedykolwiek, mógłbym jeszcze zostać pradziadkiem. Ale nie o to idzie. Gwiazda moja zbladła, gdyż nie miałem siły, ani odwagi, by wycofać się w porę. Czy pani widziała jednak rozsądnego i przezornego dyktatora? Wszyscy oni stają się w końcu szalonymi".

Na małym stoliku stała taca z jabłkami, leżały małe tomiki Schopenhauera, Eichendorffa i... Ajschylosa. W szufladzie biurka leżały zaś fragmenty maszynopisu „La storia di un anno" — książki, która nigdy nie została napisana.

— Ach, starożytność! Uważam, że powinniśmy do niej powracać, aby naprawdę zrozumieć człowieka. Słońce, niebo, zapach ziemi, miłość! Warkot maszyn nie przeszkadzał starożytnym Grekom. Czy pani myśli, że Safona mogłaby tworzyć swe tkliwe wiersze w takt hasłu przejeżdżającego motocykla? Mam tylko jedno jeszcze życzenie: czytać i czekać, aż wypełni się mój los.

— Los? Czy i śmierć hrabiego Ciano była zrządzeniem losu?

Liryczny dyktator podskoczył.

— Tak! Śmierć Galeazzo była też zrządzeniem losu. Nie było innego wyjścia. Od tego stycznowego poranku jestem już tylko cieniem człowieka. Moja agonia jest jednak nielitościwie długa.

Mussolini siadł przy maszynie, wkręcił świeżą rolkę białego papieru i rzucił na zakończenie:

— Niech pani nie traci czasu z ciemnem. Nic oczekuję już niczego, prócz wypełnienia się losu.

Drzwi cicho się zamknęły. Była to prawdziwie pouczająca rozmowa.

PAPKIN W NIEMIECKIM UNIFORMIE

Los się wypełniał. 21-go kwietnia Duce przyjął jeszcze defiladę dzieci w Mediolanie. Małe dzieci to niepodatny materiał na wilkołaków. A w trzy dni później, w pałacu arcybiskupim, konferował jeszcze z przywódcami oporu w północnych Włoszech i wierzył jeszcze w niemiecką Wunderwaffe... Wierzył w nią w chwili, gdy niemieckie dywizje rozpoczęły już nad Padem składanie broni.

26 kwietnia, z gmachu prefektury w Como połączył się Mussolini telefonicznie z donną Rachelą Mussolini, przebywającą w Cernobbio. Głos pani Mussolini, zdradzanej przez męża w ciągu 21 lat, łamał się z emocji w słuchawce.

— Wiesz, czego od ciebie oczekuję — powiedziała, myśląc o francuskim wypracowaniu szkolnym, odkrytym w bolońskim archiwum.

Ale Duce był już w mundurze niemieckiego oficera i naciągał głęboko czapkę na oczy, szykował się do ucieczki na stronę niemiecką. Pokrzyżowano mu plany. Do pułkownika partyzantów, który przywiózł mu z Mediolanu wyrok śmierci, zawołał płaczliwie:

— Daj mi życie, a dam ci imperium!

„Tak toczy się świat" — powiedział kiedyś Beaumarchais. I miał rację.

Jerzy Płażewski

DZIEŃ DANUSI

14-letnia Danusia jest uczennicą szkoły powszechnej. W jej młodej główce roi się od różnych wspaniałych planów. Wie ona, że aby jej marzenia mogły się spełnić, trzeba przede wszystkim uczyć się systematycznie i dokładnie. Dlatego chociaż nie obce są jej zabawy, odpowiednie w tym wieku — dzień Danusi jest bardzo urozmaicony i bardzo pracowity.



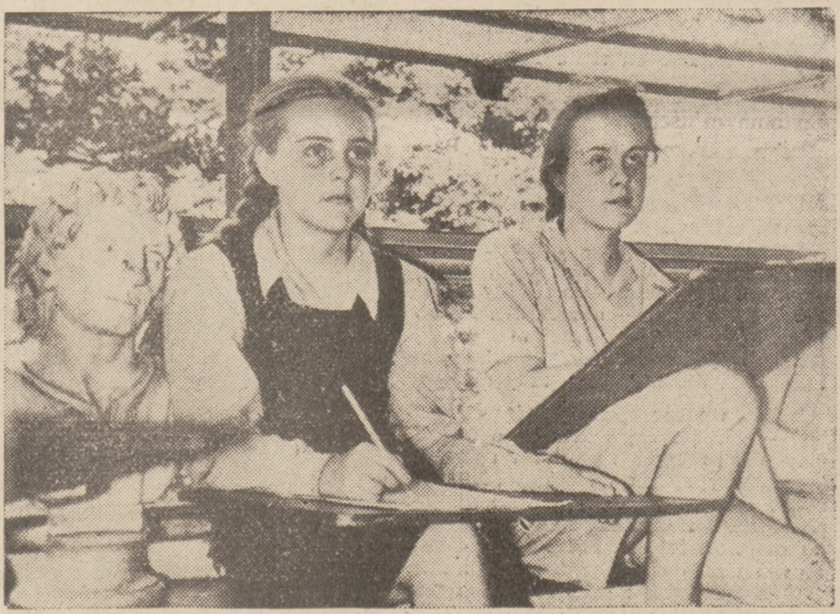
Codziennie o godzinie 7.30 Danusia wychodzi do szkoły. O godz. 8-ej siedzi już w klasie nad książką, uśmiechem witając dzień pracy.



Fizyka jest dosyć trudna, ale jeśli się pilnie, systematycznie pracuje od samego początku, to powoli wszystko staje się coraz bardziej zrozumiałe i coraz więcej ciekawi i przyciąga. Dziś godziny, spędzone w pracowni przestały być dla Danusi przykrym obowiązkiem, chociaż...



...w zaufaniu przyznaje, że bez porównania milsze są lekcje gotowania. Dużo łatwiej tę sztukę opanować. I Danusia jest dumna, że może często wyręczyć mamusię i przygotować dla wszystkich smaczny posiłek.



Do najmilszych jednak bezwzględnie zaliczyć trzeba lekcje rysunków, choć z początku zdawało się Danusi, że ani jednej kreseczki nie narysuje tak, jak jest na modelu. Teraz to już prawie „samo się robi", a pani mówi, że Danusia ma talent i że powinna się w tym kierunku kształcić.



Danusia jednak chce wiedzieć o wszystkim. Często więc po lekcjach idzie do biblioteki szkolnej i przy pomocy pani bibliotekarki wybiera sobie ciekawą i bardzo pouczającą lekturę.



A kiedy lekcje już odrobione — Danusia bawi się z malutką siostrzyczką, opowiadając jej i pokazując nieznany jeszcze Hani, świat za oknem, świat ludzi dorosłych, ludzi prawdziwych, jak ich tatuś...



...z którym codziennie wieczorem tak przyjemnie podzielić się własnymi radościami i troskami, których i nasza Danusia ma sporo. I to jest najprzyjemniejsza chwila z całego dnia.

JADWIGA ŻYLIŃSKA

VIRTUTI MILITARI

Droga powrotna trwała dwa lata. Nie wiedział jak te dwa lata przeszły. Czasem wydawało mu się, że były najdłuższe w całym jego życiu, czasem, że przeleciały jak oka mgnienie. Nie, nigdy nie zdobył pewności, jakie były naprawdę. W końcu przecież i one minęły i stało się, że naraz znalazł się o cały kawał poza linią, gdzie ongiś stały słupy graniczne. Były tam błota i lasy, a wśród lasów znowu błota. I gdzie niegdzie popalone i wyludnione miasteczka, zapadające z nastaniem nocy w pustkę. A wszystko razem oznaczało teraz zupełnie co innego niż przedtem. Ale chociaż na mapie było to widoczne, tutaj nie można było rozeznać, gdyż była noc i wiosna. I w tym pustkowiu zagubiony, w wilgotnym mroku drzew, w jakiejś chwili, której nie spamiętał inaczej, jak tylko, że była, pojął — że oto jest znowu w ojczyźnie.

— — — — — — —

Dopiero gdy wrócił zobaczył, że teraz był naprawdę sam. Z początku nie wiedział o tym, aż pewnego dnia okazało się, że prawie każdy odnalazł rodzinę i miał jakiś dom. Zatem i on zaczął gorączkowo szukać bliskich. Ale jedni poginęli, a inni zawieruszyli się w różnych stronach świata. Wtedy ni stąd ni z owąd przypomniał sobie Julittę, żonę Hugona, którą znał przed jedenastu laty. Był wtedy chłopcem i przez jedno lato spędzał u nich wakacje. Było to w rok po ślubie jego przyrodniego brata z Julittą.

Teraz postanowił ją odszukać.

Gdy ją wreszcie odnalazł, wcale nie mogła go rozpoznać.

— Przyjrzyj mi się dokładnie, no domyśl się — nalegał wyciągając niecierpliwe ręce.

— Sewer — odgadła w końcu i w tej samej chwili znalazła się w jego nieprzytomnym uścisku.

Potem wciągnęła go do pokoju. Patrzyli na siebie, z góry uprzedzeni jak najprzychylniej do wyniku swoich oględzin.

Pierwsza odezwała się Jutta: — Jestem szczęśliwa, że wróciłeś. — Więc przecież ktoś to powiedział! Czyjeś usta to wymówiły! Teraz wiedział, że od chwili powrotu czekał, aby to usłyszeć. Nie zastanawiał się nad tym, że spełniła to Jutta, o której przedtem nie pamiętał nawet, że istnieje.

Lecz i dla niej ta chwila, którą od lat sobie wyobrażała, wypadła w rzeczywistości zupełnie inaczej: gdyż to Hugon miał wrócić, zdrowy i cały i pokryty orderami. I właśnie mogła nie cierpieć Sewera za to, że to był on.

Ale stało się inaczej.

W tym momencie, gdy z całą furią tesknoty rzucił się ku niej, wydało jej się, jak gdyby wstąpił w tę próżnię oczekiwania, która w niej była i jakoś ją wypełnił.

Po tym gwałtownym początku przylgnęli do siebie mocno, choć nigdy nie mówili o tym, a nawet udawali, że tego nie dostrzegają. W kilka miesięcy później Sewer został odkomenderowany gdzieś daleko, a w rok od jego powrotu spotkali się nad morzem. Zaraz pierwszego dnia Sewer poprosił Julittę, by poszła z nim na dancing. Tak już było — że ilekroć szli razem do lokalu, Jutta brała na siebie odpowiedzialność za ich wyprawę. Z pewnością Sewer nie wiedział, że tak było, choć dlatego właśnie lubił wychodzić w jej towarzystwie, gdyż on sam ciągle jeszcze był w najwyższym stopniu niepewny i niedowierzający wobec tych sal, pełnych światła, muzyki i rozbawionych ludzi. Dopiero Jutta wnosiła w tę podejrzaną atmosferę jakiś moment stabilizacji, rozpraszała jego nieufność, upewniała go, że tak może być naprawdę. Ale to nie było zadanie na jeden raz. Powtarzało się to za każdym razem od nowa. Ciągle musiała być przy nim i musiała być taka właśnie, pewna rzeczy i spraw, w których sens, istnienie i trwałość Sewer zasadniczo powątpiewał.

Teraz także, skoro usiedli przy stoliku i uniżony kelner w czerni zbliżył się do nich, na twarzy Sewera odbił się popłoch, który daremnie próbował zamaskować. Ale już Jutta wyjęła z jego ręki kartę ze spisem potraw, wybrała co należało i przyprowadziła do ładu od początku nadwyrężoną sytuację. Jeszcze nie widziała człowieka, który by tak jak Sewer nie doceniał wartości, powszechnie uznanych za obiegowe. Bez względu na to, ile posiadał pieniędzy, wydawał je od razu, wymieniał na coś, nie zdając sobie sprawy, że jako takie mogą się przydać przy następnej okazji. Czuwała więc, aby zachować jakąś normę rozsądku, tak zupełnie był nieodpowiedzialny w tych kwestiach. Musiała też za niego ustalać wysokość napiwków, gdyż sprawa ta była dla Sewera omal problemem, tak bardzo się lękał, ażeby jego niekompetencja



Czy pamiętasz tę bajkę Andersena o zaczarowanej fujarce...

nie wyjawiła prawdy o nim. Ciągle mu się wydawało, że portierzy w hotelach i kelnerzy w kabarecie, tragarze i konduktorzy, w jakiejś chwili rozpoznają w nim człowieka, który przez lata odzwyczaił się od tego, by czyjaś funkcja służyła jego wygodzie i że przez to zasługuje na gorsze traktowanie. Do milczenia Sewera, które było prawie nałogiem, Jutta zdążyła już przywyknąć. Ale obecne jego milczenie było podminowane wyjątkową trudnością podjęcia dalszej decyzji. Jutta spoglądała na niego zachęcająco i Sewer wstał i poprosił ją do tańca. Tańczył uważnie i jakby z odrobiną zdumienia, że mu się to udaje. Gdy muzyka raptownie ustała, Sewer zaczął klaskać w ręce, upewniwszy się, że inni robią to samo. Z niewymownym wzruszeniem patrzyła, jak powoli włączał się w tę wspólnotę, z której przed siedmiu laty gwałtownie został wyłączony, jak nieśmiało, z najwyższą trwogą, by po raz drugi jej nie utracić, odnajduje w niej swoje miejsce. Gdy z powrotem usiedli przy stoliku, Sewer rozejrzał się dokoła. Ale najbliższe sąsiedztwa były tak głęboko zanurzone w [illegible] używania, że Sewer znowu poczuł się intruzem i co prędzej, zabłąkanym przez lekkomyślność spojrzeniem wrócił do Jutty, tym razem z widocznym znakiem zapytania, czy tak właśnie trzeba.

Wygląd, sposób zachowania i zasłyszane fragmenty rozmowy, z łatwością pozwoliły Jucie rozpoznać kategorię przypadkowych sąsiadów.

— „Pionierzy" — powiedziała. Potem niepewna czy zrozumiał cudzysłów, dodała:

— Czy pamiętasz tę bajkę Andersena o zaczarowanej fujarce, która każdego przenosiła na odpowiednie dla niego miejsce?

— Opowiedz — poprosił.

— Przecież musisz ją znać.

— No, opowiedz — nalegał.

Z początku myślała, że jest u niego rodzaj atrofii pamięci, tej części życia, która była przedtem. Ale potem przekonała się, że pamiętał wszystko doskonale, tylko, że nie umiał z dzieciństwem swoim nawiązać kontaktu. Jak gdyby w pewnym momencie zostały zerwane wszystkie nitki wspomnień, które dopiero Jutta każdą z osobna mozolnie musiała zawiązywać, dopasowując do teraźniejszości. Teraz także musiała mu opowiedzieć całą bajkę od początku. I gdy rozpoznawał ją w kolejnych etapach, od dzieci na jarmarku, które kupiły figurki z piernika, poprzez wierzbę zaczarowaną, aż do momentu, w którym dźwięk fujarki przenosił wszystkich „na swoje miejsce", na twarzy Sewera zaczęło przebijać radosne podniecenie, że tak właśnie wszystko było, jak zapamiętał z dzieciństwa, które Jutta oddawała mu z powrotem po nieskończoną ilość razy.

Sąsiedzi też, od chwili, kiedy Jutta ich odkryła, nabrali od razu jednoznaczności. Przestali być męczącym zadaniem życiowym, w którym on sam nie umiał sobie znaleźć pozycji. Dopóki orkiestra grała „kawałki" do tańca, od czasu do czasu przerywane występami, wszystko szło jako tako. Ale gdzieś po północy, na estradzie stanął chór młodych ludzi i pod akompaniament orkiestry zaczął śpiewać piosenkę o makach na Monte Cassino. Wtedy na sali zaczęły się dziać dziwne rzeczy: od sąsiednich stolików dochodziły odgłosy wycierania nosów, sapania i głębokich wzdychań. Na „wolność i honor" jawnie zaczęto wyciągać chusteczki do nosa, a gdy chór zamilkł, sala oszalała z podniecenia.

Matowymi oczami patrzał Sewer na tych ludzi, których zachowanie było manifestacją, jak gdyby śmierć tamtych chcieli zmonopolizować na swój wyłączny użytek. Dopóki jedli i pili i tańczyli mógł z nimi wytrzymać, ale w żadnym wypadku nie mógł znaleźć się po ich stronie, jako jeden z uczestników demonstracji. Ponury, nieledwie obrażony za tych umarłych, na cześć których teraz zamawiano nowe cocktaile, powiedział do Jutty:

— Chodźmy.

Wstali od stolika, z trudem przeciskając się do wyjścia; opuścili salę w momencie, gdy chór zmuszony oklaskami, podjął po raz drugi swoją pieśń żałobną.

Z tarasu schodzili szerokimi kamiennymi stopniami w dół ku morzu. A w miarę jak wsiąkali w parną noc sierpniową Sewer zaczął odzyskiwać samego siebie. Jakąś częścią swojego ja był przy niej, ale jednocześnie tą resztą, która była gotowością i formą czuwał nad otaczającą ich nocą i wszystkim, co było dokoła nich. I jak przedtem na sali, Sewer polegał na niej, tak teraz Jutta ze spokojem zawierzała się cała tej waleczności, która stanowiła o jego istocie. Gdyż naprawdę tylko w okolicznościach, w których mógł liczyć na samego siebie, Sewer czuł się bezpieczny i mógł tym poczuciem bezpieczeństwa natchnąć innych. Był przyzwyczajony za wszystko płacić całym sobą bez ograniczeń i to jedynie wydawało mu się rzeczą naturalną.

Na brzegu morza Jutta uklękła i zanurzyła ręce w wodzie:

— Zobacz, jaka ciepła.

— Chcesz się wykąpać? — zapytał. — Potrzymam twoje rzeczy. Piasek jest wilgotny.

— A ty?

— Nie. Mógłbym ci sprawić kłopot, gdybyś mnie musiała ratować sama jedna.

— Dlaczego miałabym cię ratować?

— Bo w zimnej wodzie mogę niespodziewanie zdrętwieć i zaczynam wtedy tonąć. To od tej pierwszej rany, którą dostałem w plecy.

— Nie wiedziałam. Wyglądasz tak kwitnąco.

— To tylko pozór. — Potem nagle z jawną chełpliwością, tonem niedorosłego chłopca: — Myślisz, że to było za nic?

Poszła za jego wzrokiem, gdzie pośród dwóch rzędów kolorowych wstążeczek błyszczał wyraźnie metalowy krzyż. Ocalał z przeszłości, która była dobra i zła i stracona bezpowrotnie i trwał jako symbol przelanej krwi, w który niewierzący nawet — wierzyli.

— Czy wolałbyś go dostać za Monte Cassino?

—Ach nie — odpowiedział bez namysłu.

Siedziała na piasku z rękami zanurzonymi w wodzie. Ale jak nieraz Sewer rozkładał w sobie jej pytanie i potem, gdy już nie było żadnej oczywistej potrzeby odpowiadania, jeszcze wracał do tego co mówiła, tak i teraz podjął po długiej chwili: — Przecież to jest wszystko jedno. Tylko rządy i dowództwa mogą być lepsze lub gorsze.

Ostrożnie jak gdyby obawiała się że teraz jeszcze może go zaboleć, położyła rękę na jego plecach:

— Tutaj?

— O, i wszędzie dokoła. Dostałem tyle odłamków.

— Gdzie to było?

— Pod Lenino.

WYGRANY ZAKŁAD

Alojzy Żółkowski założył się pewnego razu z hrabią Potockim, który odznaczał się ogromnym wzrostem, że go poniesie na plecach przez całą Warszawę, z jednego końca na drugi.

Następnego dnia o umówionej godzinie mnóstwo ciekawych zeszło się przed pałacem Potockich, oczekując

będę dźwigał także i ubranie. Mam prawo o tyle zmniejszyć ciężar, o ile na to zakład pozwala. Dlatego upraszam o zdjęcie butów i kapelusza.

— Nic więcej?

— Owszem — chcę sobie użyć o tyle, o ile można i żądam, by pan był całkiem in natura.



Założyłem się, że będę niósł pana przez ulicę.

spełnienia zakładu. Nadszedł Żółkowski ,jak zwykle uśmiechnięty.

— Jesteś pan gotowy? — spytał hrabia.

— Tak — odpowiedział Żółkowski — proszę się rozebrać.

— A to na co?

— Założyłem się, że będę pana niósł przez ulicę, ale nie powiedziałem, że

— Oto pańskie trzysta rubli — zawołał, śmiejąc się hrabia. — Uznaję się za zwyciężonego i odstępuję od zakładu.

— Wielka szkoda — odpowiedział Żółkowski — nosiłbym pana tylko przez pół godziny, a ta nowa komedia z pewnością miałaby lepsze powodzenie, niż te, które mam zaszczyt grywać w teatrze.

Kalendarzyk historyczny

1 STYCZEŃ

1453 Napad Tatarów na Polskę.
1467 urodził się w Kozienicach Król Zygmunt Stary,
1777 ukazanie się w Paryżu pierwszej opozycyjnej gazety francuskiej „Journal de Paris",
1799 urodził się Andrzej Towiański — mistyk i filozof,
1800 ukazanie się pierwszego Kalendarza Kartkowego do zdzierania,
1823 urodził się poeta węgierski Aleksander Petöfi,
1858 pierwsza premiera „Halki" w Warszawie, Stanisława Moniuszki,
1883 urodził się w Tarnowie, Józef Ujejski, historyk literatury, rektor Uniwer. Warsz.,
1887 urodził się powieściopisarz, Mieczysław Jarosławski,
1919 założenie Państwowego Instytutu Meteorologicznego w Polsce,
1923 stolica Norwegii zmienia nazwę z Chrystiania na Oslo.
1934 umarł powieściopisarz, Jakub Wasserman.

2 STYCZEŃ.

44 Założenie pierwszego biskupstwa w Rzymie,
752 wprowadzenie w użycie dzwonów,
1302 wynalezienie igły magnesowej,
1474 ukazanie się pierwszego druku w Krakowie.

3 STYCZEŃ.

1738 ur. się Kazimierz Narbutt, autor pierwszej logiki, wydanej w języku polskim, w Wilnie w 1769 r.,
1890 ur. się artysta malarz, Mieczysław Kotarbiński,
1931 zm. marszałek, Joseph Joffre.
1941 wojska angielskie zajmują Benghasi.

4 STYCZEŃ.

991 Wprowadzenie do Europy przez Saracenów liczb arabskich,
1233 odkrycie żup solnych w Wieliczce,
1330 wynalezienie prochu strzelniczego przez Bertolda Schwartza.

5 STYCZEŃ.

1729 Ur. się w Jasieńcu, Joachim Chreptowicz, inicjator Komisji Edukacyjnej, pierwszego Ministerstwa Oświaty w Polsce i w Europie.
1831 zbiera się pierwsza Rada Municypalna Warszawy,
1911 trzęsienie ziemi w Turkiestanie w Rosji,
1919 zm. b. prez. U. S. A., Teodor Roosevelt,
1945 uznanie Rządu Tymcz. Rzeczypospolitej Polskiej przez Związek Radziecki.

6 STYCZEŃ.

1355 Przyłączenie Ks. Mazowieckiego do Polski,
1573 pierwszy Sejm konwokacyjny w Warszawie,
1643 ur. się fizyk angielski, Izaak Newton,
1818 zm. w Warszawie art. malarz, Marcello Bacciarelli,
1875 otwarcie wielkiej opery paryskiej,
1895 zm. art. malarz, Władysław Podkowiński,
1919 założenie „Deutsche Arbeitspartei", zalążka przyszłej N. S. D. A. P.

Ania z Zielonego Wzgórza

Podczas powstania warszawskiego przebywałem w ciągu tygodnia w pewnej wielkiej kamienicy, gdzie się zgromadziło dużo ludzi, zapędzonych tu przypadkiem; między innymi znalazło się dwóch uczonych: jeden biolog i profesor uniwersytetu, drugi filozof. Obydwóch znałem nie tylko z ich książek, ale i osobiście, z bliska. Uważałem ich, na podstawie tej podwójnej znajomości, za ludzi bardzo trzeźwych, realistów w całym znaczeniu słowa. Zwłaszcza biolog był taki, niewątpliwie sama dziedzina wiedzy, którą uprawiał, już go musiała urobić na pozytywistę, bodaj na materialistę. Filozof również patrzył praktycznie na życie; z usposobienia był podobny do Kartezjusza. tj. szukał jedynie prawdy, którą widział w rzeczywistości; zwalczał przeto wszelakie mrzonki i mgławice; nieraz zatrącał jak gdyby o nietzscheanizm, albowiem wielbił wolę mocy i czynu, i nieraz powtarzać zwykł słowa Montaigne'a o tym, że filozofować — to znaczy uczyć się umierać, a więc być przygotowanym na wszystko. Obydwaj stanowili typ uczonych, o których powiedziałby Mickiewicz, że widzą świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce, nie chcą oglądać cudów i wolą patrzeć w mózg niż w serce. Proszę z tego nie wnosić, jakoby to byli ludzie niesympatyczni, a mój stosunek do nich ujemny. Przeciwnie: ceniłem ich i szanowałem jako ludzi z charakterem i dużą wiedzą, wiernych swoim przekonaniom i poglądom.

Ich zachowanie się w kamienicy podczas owego tygodnia. kiedy mogłem przestawać z nimi w warunkach bardzo niecodziennych, uderzyło mię jak zagadka psychologiczna. Ci rozsądni, krytyczni, rzeczowi ludzie popadli w najgłębsze przygnębienie i zobojętnienie; chwycił ich natychmiast upadek ducha równy ostatecznemu zwątpieniu i rozpaczy. Mówiąc językiem tłumu — załamali się całkowicie. Filozof powtarzał w natrectwie myśli. bliskim psychozie — pamiętam dobrze — wciąż te same słowa: „Jesteśmy na tonącym okręcie: tu trzeba księdza; jak to źle, że nie ma księdza między nami". Biolog krążył dookoła podwórza pod murami oficyn. jak pantera w klatce, i gdy się ktoś do niego zbliżał. podnosił rękę i szeptał: „Cicho, cicho, na litość boską, cicho" — jak gdyby wątłe słowa ludzkie mogły być gromem. który dosłyszą Niemcy i spadną bombami na naszą kamienicę. Młodzi chłopcy, których tam było pełno, pokazywali sobie biologa, a potem z uśmiechem robili palcem kółko na czole.

Ci chłopcy i rówieśne im dziewczęta — byli zadziwiającym przeciwstawieniem, cudownym — powiedziałbym — wspaniałym, heroicznym kontrastem dwóch uczonych, którzy pół życia strawili na szukaniu realnej prawdy. Byli zdumiewająco przytomni, zaradni, czynni, ogarniający w lot każdą nową sytuację, przemyślni, praktyczni. doskonale wyrobieni, a przy tym oddychający wiarą i nadzieją. Gdybym miał w dwóch słowach określić jednych i drugich — uczonych i tych młodych, powiedziałbym: pozytywizm i romantyzm, trzeźwość i zapał. Nie chciałbym znowu zostać zrozumiany w tym sensie, że potępiam pozytywizm życiowy, a sławię romantyzm, który niejednokrotnie składał dowody swej szkodliwości. Chciałbym ich syntezę; chciałbym, za starym Prusem, żeby człowiek, skoro mu natura dała mózg i serce, rozwijał w sobie obydwie te władze ducha harmonijnie; chciałbym, żeby były prawdą słowa tegoż Prusa: trzeba, chodząc mocno po ziemi, wznosić głowę do nieba. A co się tyczy wzmiankowanych kontrastów, nieraz spostrzegałem w życiu, że tzw. realiści tracą głowę w pewnych okolicznościach, a tzw. marzyciele, romantycy czy idealiści odnajdują ją tam, gdzieby się nikt po nich tego nie spodziewał..

Ukazanie się nareszcie w trzecim roku powojennym dziewiątego wydania polskiego „Ani z Zielonego Wzgórza" pani Montgomery — powitałem jako jedną z najpiękniejszych książek dla młodzieży, przede wszystkim dla dziewcząt niosącą naukę „romantyzmu praktycznego". Jest to książka kanadyjska. Pochodzi z kraju, gdzie wśród przyrody, jak gdyby jeszcze pierwotnej, żyją ludzie bardzo cywilizowani i kulturalni: dawna; przedwojenna statystyka wykazywała, że w Kanadzie, na niespełna dziesięć milionów mieszkańców było ponad 30 tysięcy szkół powszechnych i średnich z dwoma i pół milionami uczniów, tudzież 23 uniwersytety z czterdziestu pięciu tysiącami słuchaczów. Kanadę znamy z książek Curwooda, Londona, z ożywczych opowieści Indianina Grey Owla, który przed wojną stawał się u nas coraz bardziej popularny. Ania Shirley jest dzieckiem tego kraju i. być może — typowym „syntetycznym" dzieckięciem surowej lecz pięknej przyrody i uczciwej, rzetelnej kultury.

Dużo o tej książce i jej bohaterce możnaby pisać. Ale raczej należy ją przeczytać, zwłaszcza w dzisiejszych powojennych czasach, gdy człowiek dla człowieka nazbyt często bywa wilkiem. Zamiast się rozpisywać, wypunktujmy te wątki, elementy czy wartości książki, które są wysoce pedagogiczne a jednocześnie wolne od moralizatorstwa, przemawiające do czytelnika tylko swoją prawdą życiową, realizmem i artyzmem opisów i akcji, bardzo nieskomplikowanej, a mimo to niezmiernie zajmującej:

1. Ania jest sierotą, dzieckiem bezdomnym, wychowującym się w przytułku i wśród ludzi obcych, nieraz niedobrych, a jednak nie tylko się nie marnuje, lecz przeciwnie — doskonali się.

2. Dzieje się tak dlatego, że: po pierwsze — ma charakter, a po drugie — trafia wreszcie na ludzi dobrych, których nie brak na świecie. Tymi ludźmi jest rodzeństwo starych Cutbertów. Są to ludzie prości, surowi — i jak gdyby „niezupełni" fizjologicznie i psychologicznie, nie wypełnili bowiem jednego z przeznaczeń ludzkich na ziemi: Maryla Cutbert jest starą panną, brat jej Mateusz — starym kawalerem. A tym przeznaczeniem człowieka jest założyć rodzinę i mieć dzieci: trzeba bowiem żyć dla kogoś.

3. Zaczyna się oddziaływanie wzajemne Ani na Cutbertów i Cutbertów na Anię. Powstaje, jakbyśmy uczenie powiedzieli, wiele „problemów" i „procesów": zagadnienie środowiska, metody wychowawczej, kształcenia charakteru, rozwoju jednostki, jej uczuć osobistych, społecznych, moralnych, religijnych, humanitarnych itp. — i, o dziwo! — zagadnienie **humoru** jako doniosłego czynnika twórczego w życiu. Ale humoru w tym znaczeniu, jakie mu nadał jeden z dobrych psychologów, staruszek Höffding, pouczający, że humor jest potwierdzeniem życia, jedyną praktyczną filozofią, która, obok „filozofii heroicznej", zdolna jest przezwyciężyć powszedniość istnienia. Mamy wciąż w Ani całą wielką analizę człowieczeństwa, przeprowadzoną powieściowo, obrazowo — nie teoretycznie.

4. Ania jest romantyczna, Cutbertowie — pozytywistyczni. Następuje przenikanie się dwóch światopoglądów, dwóch różnych postaw życiowych. Okazuje się w praktyce, że romantyzm bywa nie tylko ozdobą życia i jego poezją: jest również dźwignią życia, bodźcem do czynów, tworzycielem ideałów, dla których warto żyć i poświęcić się. Romantyzm, pojęty praktycznie, nie jako chimera, oderwana od życia, lecz jako „idée créatrice" (jakby powiedział Bergson), jako „elan vital" czyli duchowy płomień życia, jako „entelechia" arystotelesowska tj. energia kinetyczna, kształtująca materię — taki romantyzm sprawia, iż „życie jest piękne", jak szepce Ania w zachwycie, zamykając okres swej młodzieńczości. A młodzieńczość — doba „burz i naporu" — to, jak wiadomo od dawna, rzeźbiarka co wykuwa żywot cały.

Jerzy Wyszomirski

Przebudowa struktury spółdzielczości polskiej

W myśl uchwał Zjazdu Spółdzielczego z 25 i 26 listopada ub. r. naczelne władze Związku Spółdzielczego „Społem" przystąpiły do realizacji przebudowy struktury spółdzielczości polskiej. Z góry stwierdzić należy, że do czasu dopóki nie ukażą się akty prawodawcze odnoszące się do powołania do życia Centralnego Związku Spółdzielczego oraz przedsiębiorstw mieszanych państwowo-spółdzielczych, albo spółdzielczo-państwowych, których zadaniem będzie ujęcie w swe ręce wielu dziedzin życia spółdzielczego, jak przetwórstwa mięsnego, przemysłu rybackiego itp. prace złączone z przebudową struktury spółdzielczości mają charakter przygotowawczy, umożliwiający jak najszybsze i najlepsze wprowadzenie w życie nowych form spółdzielczości.

Prace dotychczasowe dokonane zostały na szczeblach najwyższych to jest w Centrali „Społem" oraz w Okręgach wojewódzkich.

Na szczeblu najwyższym Centrali „Społem" istniały dwa wydziały w których ogniskowały się wszystkie zagadnienia złączone ze spółdzielczością rolniczą, a więc Wydział Rolny i Wydział Przemysłowo-Rolny.

W myśl uchwały Zjazdu wprowadzającego szereg niezależnych od siebie central branżowych, których odgórną nadbudową będzie Centralny Związek Spółdzielczy, opracowany został i wprowadzony w życie z dniem 1 stycznia br. wydział rolny składający się z siedmiu głównych działów.

Działy te są następujące: Produkcji roślinnej, okopowych i ogrodniczy, produkcji zwierzęcej, przemysłu ludowego i artystycznego, mechanizacji rolnictwa i nawozów oraz różnych artykułów przemysłowych.

Zaznaczyć należy, że Główny Wydział Produkcji Roślinnej tworzyć będzie szereg referatów a więc referat nasion i plantacji nasiennych, oleistych i włóknistych, strączkowych tytoniu, chmielu oraz ziół wraz z runem leśnym. Referat tytoniu zajmie się organizacją i kontrolą zaopatrywania plantatorów, tytoniu w artykuły potrzebne do hodowli tej rośliny. Natomiast rozprowadzeniem gotowych do sprzedaży i dalszego przetwórstwa roślin zajmować się będą działy asortymentowe. Również zadaniem referatu chmielarskiego będzie sprawa odpowiedniej uprawy i hodowli tej rośliny.

Główny dział okopowych i pasz obejmie referaty: ziemniaków, innych okopowych, pasz i torfiarstwa. Referat torfiarstwa zajmie się przede wszystkim zbytem i eksportem torfu jako ściółki. Torf opałowy prowadzony będzie przez dział materiałów opałowych w głównym dziale artykułów przemysłowych.

Główny dział ogrodniczy do czasu połączenia z centralą ogrodniczą prowadzić będzie referaty owoców, warzyw ,szkółkarstwa, kwiaciarstwa pszczelarstwa oraz przechowalnictwa i przetwórstwa.

Dział produkcji zwierzęcej prowadzić będzie nadal swe prace w ramach wydziału.

Zakres działania działu produkcji zwierzęcej wykonywać będą trzy główne referaty: obrotu końmi, bydłem, trzodą chlewną i owcami, obrotu drobiem i drobnym inwentarzem, oraz dział obrotu produktami ubocznymi jak: włosie, szczecina, kopyta, rogi, pierze, skórki futerkowe, skóry surowe itd.

Dział przemysłu ludowego i artystycznego prowadzić będzie w dalszym ciągu organizację zbytu wyrobów tego przemysłu oraz wikliniarstwa, przy czym pracować będą następujące referaty: przemysłu ludowego, ludowych wyrobów artystycznych i wikliniarstwa.

Dział mechanizacji rolnictwa i nawozów tworzyć będą referaty: nawozów, maszyn i narzędzi rolniczych, środków ochrony roślin i referat zaopatrzenia rolniczego przemysłu rolnego.

W ramach głównego działu artykułów przemysłowych działać będą referaty: materiałów budowlanych, żelaza i galanterii żelaznej, odlewów żeliwnych, materiałów pędnych, oświetleniowych i smarów, materiałów opałowych oraz opakowań i różnych.

Poza tym dyrekcja wydziału dysponować będzie aparatem pomocniczym składającym się z działów planowania i organizacji, z działu finansowo - rachunkowego oraz z działu ogólnego.

Dział planowania i organizacji tworzyć będą referaty: planowania gospodarczego, ekonomiczny, statystyczny, organizacyjny oraz instrukcyjno - kontrolny.

Do działu finansowo - rachunkowego wchodzą referaty: finansowy, księgowania i sprawozdawczy.

Dział ogólny tworzą referaty: sekretariat, personalny, administracyjno - gospodarczy, transportowy i prawny.

Poza tym do aparatu pomocniczego dyrekcji wejdą aparaty: inwestycyjny, prasowy i eksportowo - importowy.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się organizacja nowego wydziału rolnego, który w tym składzie i z tą organizacją stanowić będzie oddzielną centralę rolną.

Przemysł spółdzielczy w Wielkopolsce

Zadaniem Okręgowego Działu jest nadzór administracyjny i handlowy nad pracą fabryk, prowadzonych przez „Społem" na terenie Województwa Poznańskiego, pomoc w zaopatrywaniu fabryk w surowce, artykuły pomocnicze i opakowania, pomoc w zbycie produkcji, propaganda zbytu produkcji „Społem" na terenie Województwa Poznańskiego, wykonywanie zleceń specjalnych Wydziału Produkcji — między innymi zaopatrywanie w syrop cukierkowy fabryk wyrobów cukierniczych na terenie kraju oraz zakup zbóż dla Zakładów produkcyjnych „Społem".

Na terenie Województwa Poznańskiego „Społem" prowadzi 5 fabryk, a mianowicie: Zakłady Wyrobów Odżywczych w Starołęce k/Poznania, Zakłady Wytwórcze w Kotlinie, Fabrykę Octu i Kwaszarnię Warzyw w Zielonej Górze, Zakłady Przemysłu Szczotkarskiego w Zielonej Górze oraz Kwaszarnię i Fabrykę Konserw w Turku.

Produkcja tych fabryk jest następująca: **Zakłady Wyrobów Odżywczych w Poznaniu — Starołęce** — produkują płatki owsiane tzw. „górskie", mączkę owsianą, zupy w kostkach, kostki rosołowe, przyprawy do zup w płynie, sosy, tapiokę polską, proszek do pieczenia „Wypiek", cukier waniliowy, kakao owsiane, budynie o różnych smakach, paczkują sodę oczyszczoną oraz susz jagodowy i warzywny.

Zakłady Wytwórcze w Kotlinie — produkują marmoladę, dżemy, konfitury, powidła ,kompoty, soki, ekstrakt pomidorowy, ogórki kwaszone i konserwowe.

Fabryka Konserw i Kwaszenie Warzyw w Zielonej Górze — produkuje ocet spirytusowy, kapustę kwaszoną, ogórki kwaszone i konserwowe.

Zakłady Przemysłu Szczotkarskiego w Zielonej Górze — przerabiają szczecinę świńską i produkują szczotki do czyszczenia, szorowania, zamiatania oraz — szczotki techniczne. Przerobiona szczecina w 80 proc. wysyłana jest na eksport za granicę, a około 20 proc. przeznaczone jest dla własnej produkcji szczotek oraz dla fabryk „Społem" w Białej Podlaskiej i Częstochawie.

Kwaszarnia i Fabryka Konserw w Turku — produkuje kapustę kwaszoną, ogórki kwaszone i konserwy, grzyby marynowane i pikle.

We wszystkich tych fabrykach, po okresie wytężonych wysiłków organizacyjnych oraz trudności związanych z zakupem surowców, artykułów pomocniczych i opakowań, obserwujemy wydatne wzmożenie działalności produkcyjnej i handlowej.

Należy podkreślić wysoką jakość produkowanych towarów i estetyczny ich wygląd zewnętrzny, co uzyskano przez zastosowanie odpowiednich opakowań i staranne opracowanie graficzne etykiet.

Odbiorcami produkcji wymienionych fabryk poza eksportem szczeciny są Oddziały „Społem" i spółdzielnie.

Dążeniem Okręgowego Działu jest dostarczenie towaru wprost spółdzielniom w formie tzw. obrotów bezpośrednich, co zgodne jest z realizacją zasady spółdzielczej, aby towar od producenta docierał najkrótszą drogą do konsumenta.

Komasacja spółdzielczości rolniczej w Lubartowskiem

W 1920 roku powstał w Lubartowie Okręgowy Związek Spółdzielczych Stowarzyszeń Spożywców, który zaopatrywał w towary spółdzielnie z terenu pow. lubartowskiego. We wrześniu 1940 r. Okręgowy Związek przyłączył się do „Społem" i został przekształcony w Oddział Powiatowy (Lubartów, ul. Kościuszki 2, dom własny).

Oddział prowadzi artykuły spożywczo - kolonialne, włókiennicze, gospodarstwa domowego itp. oraz posiada hurtownie powiatowe: wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, wyrobów tytoniowych, soli i drożdży. Oddział w Lubartowie jest jedynym w Polsce Oddziałem, który prowadzi własną piekarnię mechaniczną, pobudowaną jeszcze przez Okręgowy Związek Spółdzielczych Stowarzyszeń Spożywców.

Sieć spółdzielni na terenie powiatu jest dostateczna. W powiecie istnieje 99 spółdzielni różnych typów, z czego tylko 4 — są w tej chwili nieczynne. Pozostałe pracują, wykazując dużą aktywność. Z oddziałem współpracuje 66 spółdzielni, zaopatrując się w nim w towary. Obroty Oddziału w 80% opierają się na handlu ze spółdzielniami.

W 1943 roku Oddział wybudował i wykończył jajczarnię z basenami do konserwacji na 1.500.000 szt. jaj. W r. 1947 zabasenowano 900.000 szt. jaj. Oddział współpracuje z Okręgowym Oddziałem Mleczarsko - Jajczarskim „Społem" w Lublinie, skupując dla tego Oddziału jaja i drób, które częściowo idą na eksport.

Poza tym Oddział wysyła do Warszawy mąkę w ilości ca 40 wagonów oraz dostarcza zboże do okolicznych młynów.

W tej chwili Oddział magazynuje zboże z importu rosyjskiego.

Magazyny Oddziału są niedostateczne, skoncentrowane są jednak w jednym miejscu na własnej posesji. Na sól Oddział musi dzierżawić magazyny.

Kierownikiem Oddziału, który zatrudnia 62 pracowników, jest od 1935 roku p. Stanisław Pacek, który w spółdzielczości pracuje 27 lat.

Współpraca ze Spółdzielniami układa się pomyślnie. Rada Oddziałowa pracuje intensywnie. W tej chwili przeprowadza się komasację spółdzielczości rolniczej, której organizacyjną podstawą stanie się silna gminna spółdzielnia „Samopomocy Chłopskiej". (a.).

Odbudowy młyna i magazynów wymaga gospodarka zbożowa w województwie białostockim

Okręgowy Oddział Zbożowo - Młynarski w Białymstoku, ul. Artyleryjska 9, istnieje od 1 sierpnia 1947 r. Zatrudnia 32 pracowników umysłowych i fizycznych. Prowadzi: skup zboża chlebowego dla Funduszu Aprowizacyjnego, handel mąką wolnorynkową, rodzielnictwo przetworów zbożowych reglamentowanych oraz dokonuje kontroli zbóż z akcji tzw. zleconych. Województwo białostockie jest wyjątkowo niekorzystnie sytuowane pod względem urodzaju zbóż. Ostatni wielki nieurodzaj sprawił, że cały Okręg jest zdecydowanie passywny w podaży zbóż, które trzeba sprowadzać z innych obszarów Polski. Wymaga to magazynowania przywozu, a tymczasem magazyny zbożowe zarówno w samym Białymstoku, jak i w innych miastach województwa, zostały zniszczone przez ustępujących Niemców. Placówki „Społem" i współdzielnie wiejskie walczą z trudnościami, wywołanymi brakiem magazynów, które jeżeli nawet gdzieś są, to zupełnie nie odpowiadają potrzebom. Konieczna jest tu akcja, prowadzona w skali państwowej. Wymaga ona budowy magazynów w samym Białymstoku o pojemności ca 5—10 tysięcy ton. Ponadto w Bielsku Podlaskim, Suwałkach, Łomży i Wysokiem Mazowieckiem powinny być pabudowane magazyny o pojemności po 1.000 ton zboża każdy.

Pod względem młynarskim sytuacja przedstawia się równie niekorzystnie. Na obszarze Okręgu istnieją młyny drobne, rolnicze, które nie są w stanie podołać zadaniom. Dotkliwie odczuwa się brak w Białymstoku dużego młyna o zdolnościach przemiałowych ca 50—100 ton zboża na dobę. Młyn taki mógłby podołać potrzebom województwa. Odpowiednie budynki są i na młyn i na magazyny. Należałoby je odremontować i zużytkować. Tymczasem nic się w tym kierunku nie robi. Budynki i magazyny niszczeją — władze zarówno wojewódzkie, jak i ministerialne doceniają ważność tej odbudowy, ale odpowiednich na ten cel kredytów nie ma. Toteż kierownictwo Okręgowego Oddziału w osobie ob. Konstantego Besińskiego — doświadczonego fachowca w handlu zbożem i młynarstwie — boryka się z olbrzymimi trudnościami, twierdząc, że rozwój Oddziału zależy od pozytywnego stosunku do jego zadań i prac władz państwowych.

(a)

Quas BOKS

Wstyd wyznać, ale w dziedzinie sportu, człowiek jest, jak niemowlę

Po prostu — ciemny kmiotek.

I, co gorsza, z własnej winy Bo przecież, przy odrobinie dobrej woli, z samych gazet dowiedziałby się o tym i o owym.

Już nie mówię o takich rzeczach, jak hokej, golf, slalom, czy inne egzotyczne sporty, ale co człowiek wie o takim boksie, na przykład?

Tyle, że w Ameryce, a podobno i w Anglii, dżentelmeni zdejmują na ulicy marynarki i za pomocą boksu likwidują nieporozumienia towarzyskie.

Sędzią zazwyczaj bywa tam policjant, który po rozegranej walce dopiero zabiera przeciwników do komisariatu. U nas dzieje się odwrotnie, gdyż milicja nie ma jeszcze odpowiedniego przygotowania i nie może dopuścić, by przedstawiciel władzy zblamował się wobec obywateli.

Bo jednak boks jest wśród obywateli popularny. Przekonałem się o tym, kiedy obdarzony przez znajomego sportowca biletem gratisowym, udałem się na mecz bokserski.

Kilka tysięcy ludzi zgromadziło się na widowni teatrzyku, którego scenę zamieniono na tzw. ring, czyli miejsce spotkań zawodników. Nie brakło wśród publiczności pań i wojskowych. Sam widziałem kilka szarż. Przeważali kaprale, ale dostrzegłem też dwu sierżantów sztabowych. Słyszałem, że na sali jest również obecny jeden chorąży.

Sala była zatłoczona po brzegi, dając chlubne świadectwo zainteresowaniu Warszawy dla sportu, który ma wszelkie dane po temu, by stać się naszym sportem narodowym.

Najlepiej dowodzi tego entuzjazm nie tylko widzów, ale i zapaśników, którzy z prawdziwym samozaparciem okładali się nawzajem pięściami po głowach i po żebrach.

— Przepraszam pana najmocniej, — zagadnąłem swego sąsiada. — za co ci panowie tak się grzmocą?

Nie patrząc na mnie, zapytany mruknął:

— O mistrzostwo Warszawy.

— Acha — udałem, że rozumiem i wlepiłem oczy w malowniczą grupę na ringu.

— A, proszę pana, czego ten w białych spodniach lata po scenie? — zapytałem po chwili, pragnąc poszerzyć swoje mocno zaniedbane pojęcia o frapującym sporcie.

Tym razem mój informator spojrzał na mnie z pewną uwagą i powiedział dobitnie:

— To sędzia!

Nie chciałem nadużywać jego uprzejmości, więc dalszym swym wątpliwościom nadałem formę głośnego monologu, licząc na wpływ pewnych czynników psychologicznych, które zmuszą sąsiada do zabrania głosu Rozumowanie moje okazało się słuszne.

— Nie rozumiem — zacząłem — dlaczego ci panowie powkładali rękawiczki, które muszą znacznie osłabiać siłę ciosów. Przecież w ten sposób mogą się kuksować do jutra. Rozum dyktuje, że skuteczniejsze byłyby tu szpadrynki. Nawet gołe pięści dałyby daleko większy efekt...

Mój sąsiad podniósł się z krzesełka i spojrzawszy mi surowo w oczy, rzekł:

— Proszę wont stąd!

Z jego stanowczego tonu wywnioskowałem, że wszelka dyskusja między nami jest nieaktualna. Był wyraźnie podekscytowany Stan ten, jak wiadomo, nie sprzyja łagodnej wymianie poglądów Zresztą poczułem się nieco urażony. Toteż bez żalu zrezygnowałem z jego sąsiedztwa

Moje opanowanie i wrodzony takt, jak zawsze, wyszły mi na dobre. Przekonałem się o tym, kiedy spotkawszy po chwili znajomego sportowca, opowiedziałem mu o incydencie.

— Masz szczęście — rzekł z widocznym wzruszeniem. — To zeszłoroczny wicemistrz w wadze koguciej

— Och, zeszłoroczny. — zaśmiałem się pogardliwie, lecz przeszedł mnie lekki dreszczyk.



Proszę wont stąd!

W wadze koguciej czy dziesiętnej. ale zawsze wicemistrz. Nigdy nie wiadomo, czego się można od takiego spodziewać.

Na ringu bokserzy ciągle się walili. Zdaje się, że coraz inni. Pan w białych spodniach uganiał się za nimi i zdawał się ich mitygować. Czasem brał któregoś za rękę, podnosił ją do góry i wołał. Publiczność klaskała w dłonie, gwizdała i wyła.

Było bardzo interesująco.

Zachwyt widzów dosięgnął szczytu, kiedy jeden z walczących mistrzowskim ciosem rozbił przeciwnikowi nos, z którego trysnęła krew. Następne uderzenia rozmazały ją po całym ciele, co przedstawiało nader malowniczy widok.

Z żalem opuszczałem piękne widowisko, któremu zawdzięczam genialny pomysł.

Czytałem kiedyś, że w walce o mistrzostwo świata w Ameryce, zwycięzca otrzymał milion dolarów. Pokonony — tylko dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Ale też ładny grosz.

Postanowiłem sobie stanąć do takiego konkursu. Raz dostanę w łeb, położę się i wezmę jak za psa, ćwierć miliona dolarów.

O tytuł mistrza świata nie dbam.

Quas

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmię proszę o zamieszczenie u „Tygodniu" następującej notatki.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Z. Sitnicki

JESZCZE O KULAWIŹMIE MICKIEWICZA

W związku z artykułem mym p. t. „Sylwetka młodego Adama Mickiewicza", drukowanym w Nr 13/47 „Warszawy", p. Jerzy Wyszomirski w Nr. 52/47 „Tygodnia" wysunął pewne zastrzeżenia co do zasadności mojej tezy o kulawiźmie Mickiewicza. Wątpliwości p. Wyszomirskiego powstały z tego powodu, że Redakcja „Warszawy", powodując się na ściśle literacki (nie naukowy) charakter swego pisma, skreśliła w druku wszystkie (obszerne) przypiski, zamieszczone przeze mnie pod tekstem artykułu. Ponieważ zatem wzmiankowana „niedomoga" mej pracy obciąża pośrednio może tylko autora, pozwalam sobie w tym miejscu naprawić niektóre niejasności i niedomówienia, jakie się w ten sposób wkradły do moich zbyt może syntetycznych wywodów.

Skąd „wziąłem" kulawość wieszcza? Przede wszystkim od A. E Odyńca, którego zdanie przytaczam w tekście dlatego, że jest to pierwszy (i jedyny) świadek, nazywający wyraźnie niedomogę Adama „spleczeniem", co w gwarze kresowej oznacza właśnie kulawiznę. Zdaję sobie wprawdzie sprawę z tego, że Odyniec pisał swe wspomnienia w późnej starości, mieszając w nich często prawdę ze zmyśleniem. W danym jednak wypadku na poparcie prawdziwości relacji Odyńca mam w odwodzie dwóch dalszych świadków, których zeznania przytaczam w swej pracy w przypisku, niestety pominiętym w drukowanym w „Warszawie" urywku. Świadkami tymi są: Tomasz Zan i... sam Adam Mickiewicz. Oto pierwszy tak odzywa się do Adama:

„Ty, który myślisz prosto, ale chodzisz krzywo"... Drugi zaś wręcz o sobie stwierdza:

„...idę,
Zakreślając po bruku pijaną cykloidę" (ob. J. Kleiner, Mickiewicz. Lwów 1934, str. 142).

Sądzę, iż po przytoczeniu trzech powyższych świadectw p. Wyszomirski przyzna, że Mickiewicz (podobnie jak Byron) był kulawy i że utykał nie tylko wtedy, gdy chodził na czworakach, ale i wtedy, kiedy normalnie, na dwóch nogach, spacerował z filomatami po Wilnie.

Przy sposobności — jedna uwaga. Zarzuca mi p. Wyszomirski, że nie uwzględniam „wyników badań" d-ra J. Offenberga, zawartych w pracy p. t. „Ostatnia choroba Adama Mickiewicza na tle ogólnego stanu jego zdrowia", a zwłaszcza, że nie wspominam w swym artykule o „tak ważnym źródle" jak świadectwo lekarskie, wystawione Mickiewiczowi w w 1823 roku przez d-ra Kowalskiego. Otóż pracę d-ra Offenberga znam i cenię. Jeżeli nie wspominam o niej w swym artykule o **młodzieńczych** latach Mickiewicza, to dzieje się to dlatego, że część konstrukcyjna tej pracy odnosi się do **ostatnich** chwil życia wieszcza. Co się tyczy źródeł, przytaczanych przez Offenberga (odnoszących się np. do budowy ciała poety, koloru jego włosów i oczu, chorób itp.), to, niestety, nie znalazłem w nich nic, czego bym nie znał skądinąd a co by miało poważniejsze znaczenie dla moich dociekań. W szczególności świadectwo poczciwego Kowalskiego, tłumaczące zły stan zdrowia Mickiewicza „hemoroidalnym przypływem krwi do piersi i wątroby", jest traktowana przez d-ra Offenberga — z pobłażliwą wyrozumiałością (str. 6). To samo dotyczy rzekomych omdleń Mickiewicza, których dr. Offenberg bynajmniej za padaczkę nie uważa (str. 9), itd. Skądinąd praca d-ra Offenberga zawiera niewątpliwe luki, jak np. w poruszonej przeze mnie sprawie kulawizny Adama. W tych warunkach nie mogę uznać argumentu p. Wyszomirskiego, że „Offenberg nic nie wspomina o kulawości Mickiewicza, a napewno by to zrobił, gdyby tak było". Okazuje się bowiem, że było tak, a on tego właśnie nie zrobił!

Zygmunt Sitnicki

KRONIKA KULTURALNA

„EXPRESS ILUSTROWANY" (Nr 332), opisując lege artis wypadek śmierci skutkiem nadużycia alkoholu, mający miejsce w Łodzi, bije na trwogę: „Czy nie nadszedł już najwyższy czas, aby przystąpić do społecznej walki z tym nieszczęściem, rujnującym siły narodu i wprowadzającym rozkład w rodzinach? Jak dotąd sprawa ta nie została postawiona na właściwej płaszczyźnie. Wiele się wprawdzie mówi i pisze na ten temat, ale wszelkie apele są na razie głosem wołającego na puszczy!" Racja. Czas już najwyższy. Temat przepracowany gruntownie. Wszelkie apele porobione. Przystąpić do walki trzeba. Znaleźć właściwą płaszczyznę również. A gdy się ją nareszcie znajdzie, co wówczas? Monopol przestanie sprzedawać wódkę, ludzie nie będą pić, i „Expressowi" ubędzie jeden z tematów, na który — jak dotąd — może pisać wiele.

13 GRUDNIA upłynęła 80 rocznica śmierci Artura Grottgera (1837—1867). Jednocześnie w roku bieżącym minęło 110 lat od jego narodzin. Zdaje się, że obydwie te daty przeszły dosyć niepostrzeżenie. Gdzie są jego dzieła? „Pożegnanie", „Powrót powstańca" były w Krakowskim Muzeum Narodowym. „Pochód na Sybir" w Gołuchowie; „Wedeta" we Lwowie u hr. Pinińskiego... Cykl „Wojna" był zdaje się, w Wiedniu; „Warszawa", „Polonia" i „Lithuania" — nie wiemy gdzie; nie jesteśmy zresztą historykami sztuki i muzeografami. Grottger umarł na południu Francji. Zwłoki jego przewieziono do rodzinnego Lwowa i pogrzebano w r. 1869 na cmentarzu łyczakowskim. Możnaby się w jego roku wspominkowym zakrzątnąć wedle sprowadzenia ich do ojczyzny i pochowania na Skałce.

KLUB LITERACKI powstał przy „Odrodzeniu". Nie jest to klub w sensie angielskim, mający swój lokal, swoje obyczaje i dziwactwa, lecz po prostu rodzaj przedsięwzięcia merkantylnego, polegającego na tym, że każdy, kto wpłaca udział 1.800 zł rocznie (ratami), otrzymuje za to sześć książeczek rocznie z wydawnictw „Czytelnika"; książka tedy kosztuje w tym abonamencie 300 zł. Nie jest to wielka łaska, zwłaszcza, że abonent „Klubu" podpisuje deklarację wiążącą go na cały rok. „Odrodzenie" zgłasza w N-rze 49 listę pierwszych stu członków „Klubu": na tę ilość mamy zaledwie 7 literatów: Brezę, Helsztyńskiego, Koźniewskiego, Papeego, Petersową, Tuwima i Wykę, tudzież czterech profesorów. Reszta — to szary człowiek. Lista ta do pewnego stopnia może mieć, jak to się mówi, wydźwięk kulturalny.

„DZIENNIK LUDOWY", pismo, jak się zdaje autorytatywne w sprawach wsi, pisze o „Jasnych łanach": „Fałszywy obraz wsi, ukazany w „Jasnych łanach", obok konsekwencyj artystycznych posiada ujemne konsekwencje społeczne. Oto one: 1) demoralizujący wpływ na elementy mniej wyrobione moralnie (proszę zaobserwować reakcję młodocianych widzów); 2) film przyczynia się do rozpowszechnienia błędnego, wykoślawionego obrazu wsi wśród mieszkańców miast; 3) film wprowadza w błąd opinię zagraniczną na naszą niekorzyść, — przy czym może być wykorzystany przez wrogie Polsce elementy jako argument propagandowy... Ani dobre zdjęcia, ani gra aktorów nie zmienią faktu, że „Jasne lany" stały się... ciemnymi, bardzo ciemnymi łanami".

St. Łatka.

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Spośród 372 osób, które nadesłały rozwiązanie zagadki 21-ej, zaledwie 5 odpowiedzi było błędnych. Rozwiązanie brzmi:

„Konia kują, a żaba nogę nadstawia".

W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Stanisław Polak — Przemyśl Oddział „Społem", ul. Brodzińskiego 5.
Kazimierz Podgórski — Gliwice, ul. Podleśnia 5 m. 4.
Leon Ferens — Kędzierzyn, ul. Sobieskiego 20 pow. Koźle.
Maciej Dreziński — Strzelin (D. Śląsk) Pow. Spółdz. Spożywców ul. Kościuszki 31.
Aldona Dymsza — Warszawa, ul. Sułkowskiego 2 m. 22.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Jerzy Młodzianowski — Łódź, ul. Radwańska 25 m. 10.

Witold Kalajtis — Ostróda (Mazury), ul. Olsztyńska 1.

Franciszek Żbikowski — Lublin, ul. Górna 4 m. 9.

Aleksander Puchalski — Radom, ul. Stare Miasto 9.

Djonizy Szutewicz — Szczecin, ul. Wratysława 42a m. 1.

Władysław Matyaszewski — Lublin, ul. Mochnackiego 15.

H. Radziszewski — Łochów p-ta Łochów.

Mjr. Ambroży Sawicki — Warszawa, Al. Niepodległości 245 m. 10.

Hipolit Lisowski — Białystok, ul. Mickiewicza 79.

Stanisław Dereń — Kluczbork, ul. Byczyńska 39.

Szczęście tym razem dopisało panom, gdyż wśród 15 osób znalazła się zaledwie jedna przedstawicielka płci pięknej.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.



Powyżej podajemy zagadkę Nr. 24, termin rozwiązania której upływa 25 stycznia br.

Wszystkim naszym Czytelnikom, którzy nadesłali pod naszym adresem życzenia świąteczne i noworoczne składamy serdeczne podziękowanie.

Redakcja

POLSKI KLUB SZARADZISTÓW

Niewątpliwie miłośnicy rozrywek umysłowych przyjmą z zadowoleniem wiadomość, iż ukazał się już pierwszy numer „Rozrywki", wydanej przez Polski Klub Szaradzistów (cena 30 zł), zamawiać go można w „Dziale Rozrywek Umysłowych" naszej Redakcji.

Wzywamy wszystkich szaradzistów do zapisywania się na członków Polskiego Klubu Szaradzistów. Zgłoszenia przyjmuje sekretariat Klubu, Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W numerze 52 (76) „Tygodnia" reprodukowaliśmy dostarczone nam przez p. ppłk Waleriana Arcimowicza z Łodzi trzy znaczki radzieckie z serii, wydanej z okazji osiemsetlecia Moskwy, obchodzonego we wrześniu 1947 r. Ze względów technicznych nie mogliśmy wtedy omówić szerzej tego wydania.

Dziś więc wracamy jeszcze raz do tego zagadnienia.

Ów uroczysty dzień stolicy Związku Radzieckiego dał asumpt do wydania aż trzech serii, na które złożyło się razem 19 znaczków.

Pierwsza seria to cztery znaczki z wydania z 1946 roku, zaopatrzone w czerwony nadruk: „800 lat Moskwy 1147—1947", złożony dwu- lub czterowierszowo: 20 kop. (brązowy) — plac Swerdłowa, 50 kop. (brązowy) — muzeum Lenina, 60 kop. (fioletowy) — Czerwony Plac i 1 rbl. (czerwono brązowy) — Pomnik Minina i Pożarskiego.

Druga seria, to jedenaście nowych znaczków o dużym formacie 5 kop. (niebieski-brązowy) — most Krymski, 10 kop. (brązowy-czarny) — ulica Gorkiego, 30 kop. (niebieski) — plac Kazański, 30 kop. (zielony) — Plac Puszkina, 30 kop. (szaro-niebieski) — dworzec Kijowski, 30 kop. (oliwkowy) — urząd telegraficzny, 30 kop (stalowy) — ulica Kałużska, 50 kop. (zielony) — widok na Kreml i na rzekę Moskwę, 60 kop. (stalowo-szary) — Wielki Pałac na Kremlu, 60 kop. (brązowo-czarny) — widok ogólny Kremlu i 1 rbl. (brązowo-fioletowy) — obraz Waźniecowa „stara Moskwa".

Trzecią serię tworzą cztery znaczki trójkolorowe: 1 rbl — cerkiew Błogosławionego Wasila, 2 rbl. — mury Kremla z wieżą, 3 rbl. — widok na Kreml i 5 rbl. — budynek rządowy i hotel „Moskwa".

Trzy pierwsze wartości tej ostatniej serii reprodukowaliśmy właśnie przed dwoma tygodniami.

Miesiąc wrzesień był u naszych wschodnich sąsiadów specjalnie płodny w nowe emisje. Oprócz omówionych wyżej 19 znaczków z okazji 800-lecia Moskwy, ukazało się 6 znaczków w dziesiątą rocznicę istnienia kanału Moskwa — Wołga i 6 znaczków, które po raz trzeci już uwieczniają moskiewską kolej podziemną.

Witold J. Orowski

„Kietlicz", Łuków. — W sprawie poruszonej przez Pana wyślemy osobny list. (w. j. c.).

KARNAWAŁOWY KONKURS

NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W numerze 1(77) ogłosiliśmy nowy „Karnawałowy Konkurs" na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 8 lutego br. i w którym podamy najbardziej urozmaicone typy zadań. Za rozwiązanie każdego przyznane będą trzy punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy odgadną przy najmniej jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia (również książkowych).

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 22 lutego br.

Za trzy najlepsze zadania wytypowane przez czytelników przyznane będą trzy nagrody autorskie.

Prosimy o nadsyłanie ciekawych zadań oraz projektów nowych konkursów.

Za rozwiązanie Redakcja przeznacza do rozlosowania:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz

10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

W najbliższym czasie ogłosimy jeszcze jeden ciekawy konkurs.

REBUSY NADESŁANE



Ul. L. Jasiński

ELIMINATKA REBUSOWA



Ul. B. Miałkowski

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł. otrzymał p. **Jerzy Hoppen**, profesor wydziału sztuk pięknych uniwersytetu M. Kopernika (Toruń, ul. Kochanowskiego 1 m. 1) za nadesłanie rysunku z „Mody i Życia Praktycznego", ilustrującego artykulik pt. „Jak podróżowała elegantka przed pół wiekiem". Prof. Hoppen pisze:

Na obrazku widzimy powóz, który nie istniał nigdy, a który stworzyła wyobraźnia ilustratora. Otwiera się on w połowie swej długości, po środku, jak marynarka zapinana na guziki; resorowany jest na sposób karoc z XVII wieku, na pasach; na wierzchu znajduje się balustrada na bagaż jak w angielskim cab'ie; szyby — na całą szerokość powozu — jak w wagonie pullmanowskim. Jest to ani „cab", ani kareta, ani lando, ani pająk, ani kocz — chyba jakiś koczkodan, wylęgły w mózgu ilustratora... Czy nie zechciałby pan redaktor ,prócz wycinków o charakterze literackim, zamieszczać sklerotyczne schorzenia naszych ilustratorów.

Owszem .Nie ulega bowiem wątpliwości, że nasi niedouczeni ilustratorzy dzisiejsi swymi wyczynami wprowadzają w błąd opinię publiczną równie często, jak nasi dziennikarze, czego dowodem niech służy poniższy wycinek z „Kuriera Szczecińskiego" (Nr 316), nadesłany przez p. Włodzimierza Wołoszyna (Białogard, Sienkiewicza 17).

KIEROWNICTWO WODNE NARAŻA PAŃSTWO NA STRATY

Rzeka Słupia jest obecnie terenem nielada wydarzenia. Od morza wodą jej biegu, aż do samego Słupska, docierają łosie na tarło... Nad Słupią widujemy teraz nierzadko rybaków - kłusowników... Najbardziej smutny jest fakt, że między rabusiami znajdują się członkowie miejscowego Koła Łowieckiego, a więc niejako strażnicy ładu i porządku...

Zdajemy sobie sprawę, że chodzi nie o łosie, które ciągną nie na tarło, lecz na rykowisko w gąszczach leśnych. Ale, jeśli korektor puszcza takiego byka, czy to nie może znaczyć, że łosie i łososie, to dla niego gancpomada? A jeśli tak myśli korektor, myśleć może niejeden z łatwowiernych czytelników, dla których słowo drukowane jest wyrocznią. Zwłaszcza, że w tej informacji w grę wchodzi i Koło Łowieckie. Praso! Potęgo! Bądź strażniczką!

ZNOWU EXPRESS

W ciągu ostatnich dwóch dni grecka armia demokratyczna wyzwoliła w Egipcie obszar o powierzchni 500 km kwadratowych (Express Wieczorny" Nr 333/543, nadesłał p. Jan Zawieska z Warszawy).

Jak to się stało? W sposób prosty. Dowódca armii greckiej zawołał: „Chłopcy, maszerujemy na Epir!" Redaktor „Expresu" nie dosłyszał dobrze, bo to znaczna odległość, i napisał: Egipt. A zresztą ,czy to nie wszystko jedno? Jak się zwał, tak się zwał, byle się dobrze miał. Armia zaś grecka, jak widać, ma się dobrze.

I JESZCZE EXPRESS

Premier de Gasperi odbył konferencję z ministrem spraw zagranicznych, któremu polecił w sposób bezwzględny przywrócić porządek we Włoszech. („Express Wieczorny" Nr 322, nadesłał dr St. Kaszubski z Otwocka).

Wojna, ten kataklizm dziejowy — jak powiada Gałczyński, dokonała gigantycznych przeobrażeń na świecie, a między innymi we Włoszech. Tam sprawy wewnętrzne są sprawami zagranicznymi, a sprawy zagraniczne należą do ministra skarbu, który się właśnie stara o forsę z Ameryki. U nas jeszcze po staremu.

S.

TYDZIEŃ Kobiety

SZKOŁA PRANIA

(Ciąg dalszy)

PRZYGOTOWANIE DO PRANIA

Przed praniem bielizna musi być dokładnie poreperowana; plamy, niedające się usunąć w wodzie z mydłem, powinny być wywabione. Następnie bieliznę należy porozkładać wed dług gatunków, przeliczyć i zapisać dla kontroli .Najwygodniej jest zapisywać w zeszyciku, podzielonym w zdłuż na rubryki. W pierwszej rubryce wypisujemy raz na długi czas gatunki, w każdej z następnych pod datą — ilości dawanej do prania bielizny.

Przeliczoną bieliznę związujemy: oddzielnie stołową, oddzielnie osobistą, pościelową i kolory. Guziki perłowe odpruwamy, by się nie gniotły.



Piorąc bez moczenia, zaczynamy od bielizny stołowej ,jako najczyściejszej.

Najpierw przygotowujemy dwie balie i wanienkę, wyżymaczkę, tarę, kocioł, kosz, mydło i inne dodatki. Balię ustawiamy blisko pieca kuchennego na stołku odpowiedniej wysokości. Bliskość płyty — potrzebna, by praczka nie potrzebowała nosić kotła, tylko zsunąć go i przechylić, wylewając do balii. Wanienka, kosz, wiadro powinny być pod ręką, żeby unikać zbędnych ruchów praczki i brudzenia bielizny.

Wodę zimną z kranu można doprowadzić do balii wężem gumowym.

MOCZENIE

Bardzo wskazane jest moczenie bielizny przed praniem na noc w letniej (niezbyt ciepłej) wodzie, która rozpuszcza różne składniki brudu. Brudniejsze miejsca dobrze jest namydlić. Wie le gospodyń dodaje na balię średniej



wielkości po dwie łyżki amoniaku i terpentyny francuskiej dla łatwiejsze go rozpuszczania brudu.

W jednej balii moczymy bieliznę czyściejszą, w drugiej brudniejszą.

Mocząc w jednej balii — kładziemy grubszą i brudniejszą pod spód, cieńszą i czyściejszą na wierzch.

ZWYKŁY PROCES PRANIA

Na drugi dzień dolewamy gorącej wody i pierzemy po raz pierwszy w tych samych mydlinach, namydlając brudniejsze części. Przeprane sztuki przepuszczamy przez przykręconą do balii wyżymaczkę, w kosz wyłożony płótnem. Przeprawszy wszystko, wypieramy po raz drugi w czystej wodzie, namydlając znów części brudniejsze.

GOTOWANIE

Napełniamy do połowy kocioł zimną wodą ze struganym mydłem i upraną dwukrotnie bieliznę składamy do gotowania. Gotujemy od chwili zawrzenia przez 20—30 minut, po czym wyrzucamy wraz z wodą do balii, a kocioł napełniamy po raz drugi. Wygotowaną bieliznę pierzemy jeszcze raz w tych samych mydlinach, potem płuczemy w zimnej wodzie i zwykle wkładamy na całą noc do zimnej wody.

Na drugi dzień wykańczamy, tj. farbkujemy i krochmalimy.

Tak uprana bielizna będzie czysta, ale to sposób bardzo długi, nieekonomiczny i męczący.

KRÓTSZY SPOSÓB — FIŃSKI

Krótszym sposobem jest fiński sposób prania, przy którym moczymy na noc bieliznę w zimnej wodzie. Nazajutrz wypieramy w tej samej wodzie i przepuszczamy przez wyżymaczkę. Potem na suchej balii nacieramy masą, przygotowaną w przeddzień w spo sób następujący: twarde mydło strugamy i rozgotowujemy w wodzie, zdejmujemy z ognia i dolewamy oczyszczonej nafty. Proporcja: na 40 dkg mydła — 1 litr wody i 5 łyżek nafty. Bieliznę natartą w brudniejszych miejscach masą, wkładamy w zimną wodę do kotła, gotujemy pół godziny od zawrzenia, pierzemy jeszcze raz w tych samych mydlinach i płuczemy trzy razy w gorącej wodzie, czwarty w zimnej. Odór z nafty znika nie po starannym wypłukaniu. Zapach nafty jest przykry przy praniu, lecz zasługuje na uznanie oszczędność czasu i pracy. Sposób ten nadaje się szczególnie do prania ścierek i bardzo brudnej bielizny.

Bieliznę upraną roztrzepujemy i wieszamy na strychu lub na słońcu, przytrzymując ją drewnianymi widełkami. Należy zwracać uwagę na czystość sznurów. **M. U.**

(C. d. n.)



Praktyczna gospodyni

CZYSZCZENIE LUSTER

Umoczyć delikatną, miękką gąbkę w wodzie i potem w spirytusie. Przetrzeć lustro, posypać kredą miałko sproszkowaną. Kredę zetrzeć zlekka miękką ściereczką, potem dokładnie wycierać lustro zamszem.

Szyby bardzo brudne i poplamione stają się jasne, jeżeli pocieramy je przekrojoną cebulą.

PRANIE KOŁDER WEŁNIANYCH

Kołdry wełniane z łatwością wchłaniają pot, dlatego też powinny być często wietrzone, czyszczone i przynajmniej raz na rok prane. Pranie można łatwo przeprowadzić w domu następującym sposobem: napełnić balię letnimi mydlinami z dodaniem paru łyżek bielidła. Kołdrę, uprzednio dobrze wytrzepaną z kurzu, włożyć do wody na kilka godzin. Następnie trzeć kołdrę na balii, raz koło razu, gdyż miejsca źle odtarte będą widoczne, jako ciemniejsze smugi. Gdy jest to potrzebne — można odetrzeć po raz drugi w letnich mydlinach.

Płukać należy w dużej ilości czystej, letniej wody. Płukanie powtórzyć dwa, trzy razy, uważając, żeby za każdym razem woda była letnia, o jednakowej temperaturze.

Rozwiesić w suchym, przewiewnym miejscu, na dwóch sznurach, tak aby kołdra nigdzie się ze sobą nie stykała.

Kołdry wełniane, jako dające się łatwo myć i czyścić, są higieniczniejsze od watowych.

Smacznego

GALARETKA Z KARPIA, SZCZUPAKA I INNYCH RYB

1 kg ryby, jarzyny ,pieprz, ziele angielskie, liście bobkowe, sól, ½ cytryny 2 białka, 4 listki żelatyny, ½ litra wywaru.

Karpia lub inną rybę oczyścić, sprawić, oddzielić ości, pokrajać w dzwonka i nasolić. Przygotować wywar z jarzyn ,cebuli i korzeni. Ułożyć dzwonka ryby i głowę w rondlu ,zalać wywarem i gotować do miękkości. Wywar przecedzić. Żelatynę namoczyć w wodzie, wycisnąć, dodać białka, cytrynę lub ocet; rozbić trzepaczką, zalać wywarem rybnym, zagotować i przecedzić przez gęsty woreczek. Dno formy ubrać jarzynami, jajkiem na twar do, plasterkiem cytryny; ułożyć dzwon ka rybie ,przekładając dodatkami. Zalać tężejącą galaretą i postawić w zim nym miejscu, aby galareta całkowicie „stanęła". Przed wydaniem — zanurzyć na chwilę w gorącej wodzie, wyrzucić galaretę na półmisek i podawać z cytryną i oliwą.

ZUPA RYBNA ZABIELANA

Nastawić włoszczyznę, jak na rosół i gotować ,dopóki nie zmięknie. Gdy jarzynki będą miękkie, włożyć ryby (najlepiej okonie), nasolone na kilka godzin przedtem. Zagotować raz na wolnym ogniu, zszumować, przykryć i gotować dalej przez 20 minut. Można użyć do zupy nie całe ryby, ale główki, ogonki i mlecze, pozostałe od innych ryb, przeznaczonych na smażenie. Po przegotowaniu — odcedzić, zaprawić łyżką masła i mąki, dodać kwaterkę kwaśnej śmietany, z którą jeszcze raz zagotować i wlać do wazy na poprzednio ugotowane kluseczki, pulpety lub knedelki z ryby. Szczypta zielonego koperku podnosi smak zupy.

KOTLETY Z RYBY

Oczyszczoną rybę (sandacza lub szczupaka) przeciąć na płasko na połowę ,oddzielić od skóry i ości, pokrajać ,w kostkę, dodać trzy bułki otarte ze skórki, namoczone w śmietance, mleku lub w wodzie i dobrze wyciśnięte. Usmażyć na maśle z cebulką rzaciutką jajecznicę z dwóch jaj, dodać trochę posiekanej zielonej pietruszki, pieprzu i soli do smaku, wszy stko przesiekać na stolnicy. Robić zgrabne kotleciki, podsypując mąką. Smażyć je na maśle.

KLUSKI Z KASZKI DO ZUPY RYBNEJ

Zagotować trzy szklanki wody, osolić, wsypać na to trzy czwarte szklanki drobnej kaszki i gotować — mieszając. Wylać na półmisek, rozsmarować na warstwę grubości palca. Po ostudzeniu — pokrajać w kostkę, włożyć do wazy i zalać gorącą zupą.

SZCZUPAK DUSZONY Z CHRZANEM

Półtora kilograma szczupaka oczyścić ,pokrajać na dzwonka, osolić. Utrzeć jeden gruby lub dwa cieńsze korzenie chrzanu i sparzyć. Na trzy kwadranse przed podaniem włożyć w rondel łyżkę masła mało solonego, na to dzwonka szczupaka, posypać chrzanem i zalać kwaterką młodej, kwaśnej śmietany; postawić na wolnym ogniu i dusić.

Potrząsać od czasu do czasu rondlem, żeby się nie przypaliło.

OKONIE, KARASIE LUB INNE RYBY DUSZONE Z JAJAMI

1 kg ryby, 10 dkg masła, 1 cebula, 2 jajka, ½ cytryny (może być kwasek cytrynowy), sól, pieprz.

Ryby sprawić, osolić na ½ godziny. Ułożyć w rondlu, dodać masło, cebulę i trochę wody. Przykryć pokrywą dusić na wolnym ogniu przez 20 min. Gdy gotowe — wyłożyć na półmisek, skropić sokiem z cytryny, obsypać posiekanymi jajami, ugotowanymi na twardo i polać masłem.

Podawać z ziemniakami z wody.

Odpowiedzi Redakcji

P. Zbigniew Markiewicz — Poznań, ul. Łąkowa 17 pisze: Pismo „Tydzień" kolekcjonuję i czytam z zainteresowaniem od pierwszych numerów i jestem z niego b. zadowolony. Proszę nie uważać wypowiedzi tej jako tzw. „kadzidło", tylko jako szczere uznanie. „Tydzień" propaguję i zachęcam kolegów i znajomych do brania udziału w konkursach.

Cieszymy się, że mamy w Panu tak szczerego sympatyka „Tygodnia" i życzymy powodzenia w studiach.

P. Gerard Gontarz — Kępa Celejewska, p-ta Wilga, ma wątpliwości, czy wyrażenie: „osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies w drugi siano" jest przysłowiem polskim, czy też początkiem bajki Krasickiego. Wyjaśniamy więc, że przysłowia powstają w różny sposób i niejednokrotnie różne sentencje, aforyzmy, wyrażenia i zwroty użyte przez poetów stają się z czasem przysłowiami. Toteż w „Księdze Przysłów" S. Adalberga i u Wójcickiego znajdujemy powyższe wyrażenie zanotowane jako przysłowie. Prenumeratę ma Pan opłaconą do 31 marca br.

P. Jan Bruksza — Lidzbark Warmiński, ul. Kościuszki 8, pisze: „Dzisiaj wpadł mi w ręce 50 Nr „Tygodnia" i od razu zyskał dla siebie jednego czytelnika. Moim zdaniem, „Tydzień" jest najciekawszym ze wszystkich czasopism, nawet takich jak „Przekrój" i „Żołnierz Polski". I dlatego od dzisiaj staję się jednym z naj gorliwszych jego czytelników".

Przyjmujemy to do wiadomości z zadowoleniem.

P. J. Michalski — Kraków, ul. Krzywa 7 oburzony jest, że w Nr 49 „Tygodnia" pod zdjęciem na stronie 2 napisaliśmy: „Trąd — koszmarna choroba starożytności dziś jeszcze grasuje w krajach podzwrotnikowych. Dotychczas jeszcze nie wynaleziono środka leczniczego na trąd. W leprosorium w Nigerii chorzy znajdują się pod opieką lekarską, ograniczającą się jednak tylko do złagodzenia cierpień nieszczęśliwych".

Nadesłał nam Pan Nr 31 „Głosu Anglii", w którym jest artykuł pt. „Walka z trądem" i podkreślił. Pan w nim zdanie, mające jakoby świadczyć o naszej niewiedzy. Przytaczamy je dosłownie: „Jak dotąd leczenie penicyliną nie dało żadnych dobrych rezultatów; dożylne stosowanie prominowych związków sulfonowych i diazonu dla trędowatych w Louisianie w Ameryce i przez dr. Muira w Trynidadzie, dały rezultaty niedostateczne". Gdzie tu jest rozbieżność?

P. Jan Szwaja — wieś Sokolniki, gm. Lelów, pow. Włoszczowa — książkę van de Velde pt. „Małżeństwo doskonałe" w przekładzie dr. Z. Jelińskiego może Pan zamówić listownie w Wydziale Księgarskim „Wiedzy", Warszawa, ul. Lwowska 5 (cena 1.200 zł).

P. Regina Skopińska — Toruń, ul. Żółkiewskiego 34 — książkę Zambrzyckiego „Mgła nad Skaldą" wysłaliśmy 18 grudnia ub. r.

P. Józef Wronka — Szczecin Potulicka, garaże P. K. P.—wysłaną książkę poczta zwróciła. Prosimy o dokładny adres.

P. Zofia Uchmańska — Radość, ul. Kopernika 17. — Za nadesłane pomysły do zagadek i życzenia dziękujemy.

P. Basia Przybylska — Płock, Aleje Jachowicza 18—4, P. Józef Wojtusiak — Żywiec Łodygowice, Słotwina 53, P. M. Romanow — Słupsk, Wojska Polskiego 19, P. Andrzej Bloch — Lublin, Biłgorajska 16—3, P. Ewa Barciszewska — Kraków, Pijarska 11—3, P. Zofia Zielińska — Ostrów Mazowiecki, ul. Piłsudskiego 35 i P. Teresa Tumidajewicz — Gorlice, ul. 3 Maja 9 za życzenia i wyrazy sympatii bardzo dziękujemy

P. Wacław Omen — Borowe pow. Mogielnica k. Grójca. Pisze: „Będąc pewnego razu w spółdzielni „Borowiak", przypadkowo zauważyłem i uważnie przeczytałem „Tydzień". Jest to pismo o bogatej treści, więc teraz chodzę do Spółdzielni co tydzień i czytam „Tydzień".

Bardzo się cieszymy, że pismo nasze podoba się i że mamy w Panu sympatyka. Za życzenia dziękujemy.

B-41356



PRAKTYCZNE a jednocześnie zdecydowanie modne.

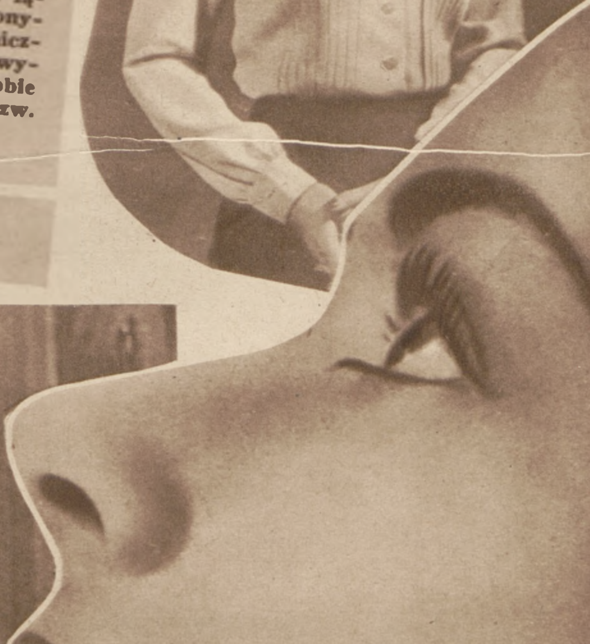
Nie chcąc drażnić i denerwować miłych naszych Czytelniczek wzorami nieprawdopodobnie rozrzutnej ekstrawagancji najnowszej mody w dziedzinie toalet wizytowych, szczególnie mody inspirowanej przez paryskich dyktatorów z tzw. „haute couture'y" — podajemy na stronie niniejszej szereg modeli, które niewątpliwie dopomogą wielu naszym paniom do rozwiązania aktualnego zagadnienia strojów popołudniowych wzgl. wizytowych. Cechą charakterystyczną wszystkich podanych tutaj bluzeczek jest ich prawdziwie dystyngowana elegancja. Umiejętnie łącząc te bluzeczki z dobrze skrojonymi i dobranymi w kolorze spódniczkami — możemy stosunkowo niewysokim kosztem skompletować sobie efektowną modną całość na tzw. „bardziej uroczyste okazje".



Przykład pięknej, nowej w linii — modnej sukni wieczorowej, bez akcentów paryskiej „modernistycznej" przesady. Model amerykański.



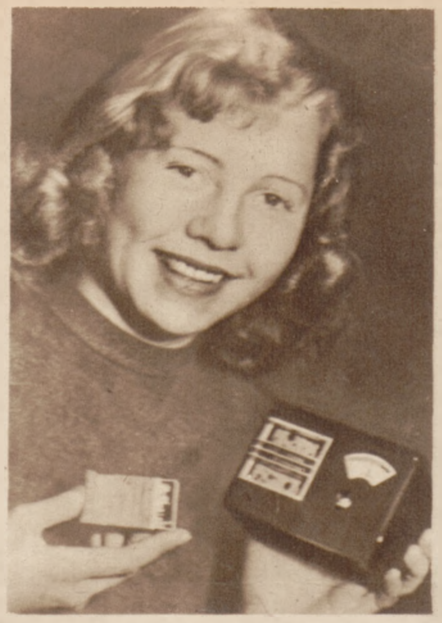




Z SZEROKIEGO świata



Matka wraz z córkami — mistrzynie malowania wazonów w stylu wiktoriańskim.



Radioodbiornik nie wiele większy od pudełka zapałek (10,7 cm na 5,5 cm, waga 550 gr.) łapie 40 odrębnych stacyj.



Lalka, która chodzi, mówi i nie jest o wiele mniejsza od swej „mamusi" — specjalność południowej Afryki.



Apel słoni „wszystko w porządku!" w cyrku Toma Arnolda.



Dwa pokolenia laureatów Nobla. Rosalinda Apleton, córka laureata, który otrzymał nagrodę za odkrycia z dziedziny fizyki tańczy z Geraldem Domack, laureatem z dziedziny medycznej. Domack nagrodzony z fundacji Nobla był zmuszony przez Hitlera do rezygnacji ze swej nagrody.



Pierre Daninos otrzymał nagrodę międzysojuszniczą 1947 r. za książkę „Karnet dobrego Boga".



W Rosji zniesiono kartki i wprowadzono wolną sprzedaż. Nowa sytuacja zmusiła do otwarcia wielkiej ilości nowych sklepów.



Śmierć niemieckiej łodzi podwodnej. Ostatnio wysadzono w ten sposób w powietrze 4 niemieckie łodzie podwodne.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".
Redaguje: zespół redakcyjny. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Telefon 86-164.
Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od 11 — 13.
Drukarnia R. S. W. „Prasa" Z. S. W-wa, Smolna 12, i Zakłady Wklęsłodruk R. S. W. „Prasa" W-wa, Tarczyńska 4.

TYDZIEŃ

Administracja: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Telefon 88-715.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa, Nr I 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddział Wojewódzki, Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm na szerokość 1 szpalty — 120 zł, w kolorze 50 proc. drożej.